ROK XVIII LISTOPAD-GRUDZIEŃ 1929 ZESZYT IX-X

MIESIĘCZNIK
KATECHETYCZNY I WYCHOWAWCZY
ORGAN ZWIĄZKU DIEC. KÓŁ KSIĘŻY PREFEKTÓW

Redaguje: *Komitet Redakcyjny.*
Redaktor naczelny i odpowiedzialny: *X. dr. K. Thullie.*

Miesięcznik ukazuje się 1-ego każdego miesiąca, prócz sierpnia i września.
Manuskrypty egzort i recenzyj należy nadsyłać do ks. dra Józefa Rychlickiego, Kraków, ul. Siemiradzkiego 13, artykuły odnoszące się do szkolnictwa powszechnego do ks. Adama Hausnera, Lwów, ul. Jakóba Strzemię 9, wszelkie inne pisma do redaktora naczelnego, ks. dra K. Thulliego, Lwów, ul. Dąbrowskiego 11. — Manuskryptów Redakcja nie zwraca.
Pieniądze za prenumeratę odsyłać należy do Administracji (Lwów, ul. Ormiańska 13), a nie do Redakcji. — Na wszelkie korespodencje udzieli Redakcja wtedy tylko odpowiedzi, jeśli piszący załączy na odpowiedź list (lub kartkę) odpowiednio ofrankowany i do siebie zaadresowany.

Duszpasterstwo w szkole.

Katecheta musi być oczywiście w każdej szkole nauczycielem swego przedmiotu i to nauczycielem dobrym. Religja jest w szkole przedmiotem ważnym, a wcale niełatwym: nauczanie tego przedmiotu stawia wobec kapłana duże i poważne wymagania. Katecheta-nauczyciel musi posiadać solidne wykształcenie ogólne, teologiczne i pedagogiczne, musi opanować doskonale metodę nauczania, egzaminowania i t. d. Sprawa dobrych planów nauczania, podręczników, środków pomocniczych zajmuje słusznie baczną uwagę wszystkich, którym wykształcenie religijne przyszłych pokoleń leży na sercu. Ale samo nawet najlepsze nauczanie religji nie jest wszystkiem, nie jest nawet, otwarcie to i śmiało stwierdzam, nawet najważniejszem zadaniem katechety [1]).

Jest to dziś przynajmniej w teorji ogólnie uznana prawda, że szkoła powszechna i średnia jest zakładem nie wyłącznie ani nawet przeważnie nauczającym, ale przedewszystkiem wychowawczym, a każdy nauczyciel także wychowawcą. O ile więcej

[1]) Używam w mym referacie stale nazwy „katecheta“, a nie „nauczyciel religji“, „profesor“ lub „prefekt“. Ta nazwa katechety, to „nomen proprium et honorificum“ właśnie kapłana-duszpasterza; ono jedynie charakteryzuje trafnie nasze stanowisko w szkole powszechnej czy średniej.

odnosi się ta prawda do nauczania religji katolickiej i do katechety. Kapłan obejmujący stanowisko nauczyciela religji otrzymuje przecież od Kościoła, od swego Ordynarjusza *misję kanoniczną*, która go upoważnia do sprawowania wobec młodzieży szkolnej *duszpasterstwa* prawie w tych rozmiarach, jak je wykonywa proboszcz wobec swych parafjan. X. Arcybiskup Bilczewski nie wahał się w swym świetnym, niezapomnianym odczycie „Katecheta szkoły średniej jako duszpasterz“ (Wiedeń: Kurs katechetyczny 16-go lutego 1908) mówić o szkole jako o „winnicy katechety, jego owczarni, jego (w pewnem znaczeniu) parafji“.

Chcąc określić w jednym krótkim referacie znaczenie naszej pracy w szkole jako czynności duszpasterskiej, pragnę przedewszystkiem sprecyzować jasno *cel* katechizowania, a później bodaj powierzchownie naszkicować najważniejsze środki, które nam umożliwiają osiągnięcie i zrealizowanie tego celu.

I. **Cel katechezy** określa wspaniale a poprostu Św. Augustyn (de cathechisandis rudibus c. 4): „Hac dilectione tamquam fine praeposito, quo referas omnia quae dicis, quidquid narras ita narra, ut ille cui loqueris, audiendo credat, credendo speret, sperando amet“. Myśl tę przewodnią św. Augustyna streściłbym w dwóch zdaniach: 1) Cel całego naszego nauczania religji musi być nawskróś praktyczny; 2) każde nauczanie prawd wiary musi ostatecznie dążyć do obudzenia i pomnożenia w słuchaczu miłości Boga i bliźniego. Nauczanie musi być praktyczne — jak cała praca nasza duszpasterska. Musimy uczyć, ale nie wyłącznie dla wykształcenia intelektu naszych słuchaczy. Katecheza — na jakimkolwiek stopniu nauczania — i to każda katecheza („quidquid narras“) — nietylko np. egzorta lub rekolekcje — nie może być popularnym wykładem teologji, choćby nawet doskonale zastosowanym do pojęć i rozumu maluczkich; nie może być ani egzegezą, ani naukową dogmatyką ni etyką, ani wyłącznie historją czy biografją. Gdyby była taką to chybi właściwego celu, choćby wydała na oko świetne rezultaty np. doskonałe pamięciowe opanowanie materjału naukowego przez młodzież. Musi być ona głoszeniem słowa Bożego, a przecież głoszenie słowa Bożego nie ma wychować wykształconych „auditores verbi“, ale „factores“. Nie samo poznanie prawd wiary, *γνῶσις*, ani nawet sama wiara *(πίστις)*, która bez uczynków będzie martwa jest celem nauki Chrystusowej, ale doprowadzenie wiernych (w naszym problemie dziatwy szkolnej), do

tego, by umiłowali prawdę Chrystusową, poszli drogą Chrystusową, żyli nadprzyrodzonem Chrystusowem życiem; wszak On powiedział o Sobie nietylko, że jest prawdą, ale także drogą i życiem. Św. Augustyn żąda, by całe nauczanie sprowadzać na „doskonalszą drogę“ miłości („ad illam supereminentiorem vitam omnia referenda sunt)“, przypomina, że nawet cały Stary Zakon (dziś nazywany często jednostronnie i niesłusznie wyłącznie prawem bojaźni) opiera się według słów Chrystusa na przykazaniach miłości Boga i bliźniego: „Na tych dwóch przykazaniach wszystek zakon zawisł i prorocy“, a tem bardziej wszystko co napisano później (t. zn. w Nowym Zakonie). Nawet prawdy i zdarzenia, które budzą u nas raczej bojaźń jako objawy surowej sprawiedliwości Bożej, należy wyzyskiwać do obudzenia miłości: „De ipsa severitate Dei, qua corda mortalium saluberrimo terrore quatiuntur, caritas aedificanda est“ (cap. V.).

II. Poznaliśmy szczytny, wspaniały, dostojny cel naszej pracy w szkole. Rzućmy okiem pokrótce na najważniejsze *środki,* któremi możemy i powinniśmy ten cel bodaj częściowo i powoli osiągnąć. *Łaska Boża* uczynkowa kieruje człowieka do nadprzyrodzonego celu, do zbawienia w dwojaki sposób: oświecając jego rozum i pobudzając do dobrego jego wolę: „gratia illuminans“ i „gratia movens“. Katecheta-duszpasterz musi starać się oddziaływać *analogicznie* na swego wychowanka: na jego rozum i na wolę. Oczywiście analogja jest niezupełna: Bóg ma dostęp bezpośredni tak do umysłu jak i do serca człowieka; słowo duszpasterza może trafić bezpośrednio tylko do umysłu wychowanka; chcąc działać na wolę musi do niej dojść przez rozum, wyobraźnię, uczucie. To prawo psychologji musimy mieć przed oczyma, gdy obmyślamy sposoby, któremibyśmy chcieli poprowadzić naszych katechumenów-wychowanków do Boga. Środki, które podajemy w naszem rozważaniu mają charakter bądź to wprost duszpasterski bądź też bezpośrednio tylko wychowawczy. Ale i te ostatnie musimy wciąż kierować ku celom wyższym, duszpasterskim, bo nie chcemy wychować w szkole wyłącznie uczciwych ludzi w porządku naturalnym, ale prawdziwe dzieci Boże i członków Jego królestwa.

A) *Nauczanie* jest w logicznym porządku rzeczy pierwszym środkiem, którego używa w szkole katecheta-duszpasterz. „Nihil volitum, nisi prius cognitum“, „ignoti nulla cupido“: jeżeli nasz

wychowanek ma umiłować Boga, Chrystusa, jego wiarę, jeżeli ma iść drogą przez Niego wskazaną, jeżeli ma korzystać z owoców Jego męki, z Jego ofiary i sakramentów, jeżeli ma stać się wiernym synem Kościoła, musi te prawdy (oczywiście stosownie do swego umysłowego rozwoju) należycie i gruntownie poznać. Wszak Chrystus przyszedł na świat, by dać świadectwo prawdzie, i głosi że „prawda zbawi was" (Jan VIII, 32). Tej prawdy nadprzyrodzonej mamy „uczyć; uczyć i to dobrze i jak najlepiej uczyć" (list past. X. arcb. Bilczewskiego z 11. XII. 1911), uczyć całej prawdy Chrystusowej, tylko prawdy bez domieszki jakiegokolwiek już nie fałszu ale nawet jakiejkolwiek plewy. Katecheta musi urabiać u dziatwy i młodzieży jasne i poprawne *pojęcia religijne,* gdyż nietylko u prostaczków, ale i u inteligencji spotykamy tyle bałamuctw i nieporozumień, tyle wprost fałszywych pojęć nawet o bardzo zasadniczych i życiowo ważnych prawdach wiary. Ile to np. bałamuctw słyszy się od t. zw. dobrych katolików o takich prawdach jak Niepokalane Poczęcie N. P. Marji, nieomylność papieża, rozwody; nie mówiąc już o zupełnem zniekształcaniu i przekręcaniu faktów z dziejów Kościoła.

Na jasnych i pewnych pojęciach religijnych musimy oprzeć silne i trwałe *przekonania religijne.* Życie prawdziwie chrześcijańskie nie może się opierać, jak to u nas niestety często bywa, wyłącznie na uczuciach, nastrojach, porywach. Taka religja wyłącznie uczuciowa, tradycyjna, narodowa i t. d. nie ostoi się wobec silnych pokus wewnętrznych i zewnętrznych: zatrważające rozpanoszenie się sekt u „poczciwego wierzącego" ludu, i liczne odstępstwa od wiary u inteligencji na tle rozwodów udowodniły to nam niestety zbyt widocznie. Życie na prawdę nadprzyrodzone musi płynąć z *nadprzyrodzonej wiary,* która przecież nie jest uczuciem, ale „assensus mentis", przekonaniem rozumu, opartem na niezłomnym autorytecie Boga, który nam swą prawdę objawia i przez swój Kościół do wierzenia podaje.

Czego należy *uczyć?* Podawać należy dziatwie i młodzieży *całokształt* nauki Chrystusowej — oczywiście wedle planów przepisanych i stosownie do rozwoju umysłowego i potrzeb wychowanków. Ale i w nauczaniu potrzebna jest pewna selekcja, zwłaszcza w szkołach, w których nauka religji odbywa się z różnych przyczyn nie zupełnie normalnie, a więc w których nie można wyczerpać całkowicie przepisanego materjału naukowego.

Zasadą naczelną musi być: uczyć przedewszystkiem i najgruntowniej tych prawd, które najwięeej ułatwią dzieciom spełnienie głównego celu ich życia: służby Bożej i zbawienia wiecznego. *„Id prius, quod maturius ad salutem!“* Ośrodkiem zaś całego nauczania niech będzie zawsze osoba Jezusa Chrystusa.

B) Działanie na wyobraźnię i uczucie wychowanka, by tą drogą uzyskać dostęp do jego woli i nakłonić tę wolę do czynu i życia zbożnego. Cicero uczy słusznie, że celem każdej wymowy jest: wpłynąć na wolę słuchacza i skłonić go do postanowienia i czynu. „Docere necessitatis est, delectare suavitatis, flectere victoriae“. Św. Augustyn uznaje tak samo: „finis autem (eloquentiae) id, quod intenderis persuadere dicendo (De doctr. Christ. IV. c. 25)“ i pragnie, by głosiciel słowa Bożego tak przedstawiał naukę Chrystusową, aby słuchacz „ukochał to, co mu przyrzekasz, lękał się tego, czem mu grozisz, znienawidził to, co ganisz, umiłował to, co chwalisz, a bolał nad tem, co opłakujesz. Niech raduje się z tobą, gdy go do radości wzywasz, niech lituje się nad tymi, nad którymi mu każesz mieć miłosierdzie; niech unika tych, od których mu każesz stronić. Jednem słowem nie to ma zdziałać wymowa, by słuchacz tylko poznał co powinien uczynić, lecz by naprawdę to uczynił, do czego się poczuwa“. (De Doctr. Christ. c. 12).

Na wyobraźnię dziecka działają piękne, barwne opisy, przykłady, przypowieści (zwłaszcza przecudne parabole Chrystusa), opowiadania z dziejów biblijnych i kościoła, obrazy, objaśnienie liturgji kościoła. Szczegółowo wspomina o tem każda katechetyka. Aby zdobyć uczucie dziecka, należy mu jaknajczęściej i jaknajplastyczniej stawiać przed oczy wielkość, piękno i dobroć Boga, czar Osoby wcielonego Syna Bożego („apparuit benignitas et humanitas Salvatoris nostri Dei“ — Tyt. III. 4), piękno nauki Chrystusowej. Podkreślać też należy prawdziwe, rzetelne szczęście życia zbożnego już tu na ziemi, wykazać, iż jedynie wiara Chrystusowa zaspokaja pragnienia rozumu i serca ludzkiego, daje „pokój ludziom dobrej woli“, prowadzi człowieka pewnie i bezpiecznie do ostatecznego celu: do Boga i szczęścia wiecznego.

c) Aby życie religijne młodzieży należycie się rozwijało, musi katecheta duszpasterz wyzyskać należycie i wszechstronnie wszystkie ćwiczenia religijne, które istnieją w szkole: modlitwa szkolna, egzorty, rekolekcje, słuchanie Mszy św., a zwłaszcza regularne i częste uczęszczanie do Sakramentów Pokuty i Ołtarza. Jak je

prowadzić w szkole, by wydały jak najobfitszy plon dla dusz wychowanków, a nie przeszły w szkolny szablon i mechanizm, o tem należałoby pomówić już nie w osobnym referacie, ale poświęcić temu zagadnieniu cały kurs katechetyczny. Muszę jednak podkreślić, że te ćwiczenia religijne są w szkole środkami pierwszorzędnej wagi dla duszpasterstwa, że należy im poświęcić pełne starania i cały trud, a nie czynić nic takiego, coby dało komukolwiek choć pozornie zachętę do starań o usunięcie tych praktyk ze szkoły. Przeciwnicy chrześcijańskiej szkoły i katolickiego wychowania młodzieży ocenili może lepiej niż my znaczenie praktyk religijnych, kiedy tak gwałtownie kierują głównie przeciw nim swe ataki. Obok ćwiczeń obowiązkowych mogą się przyczynić w znacznej mierze do ożywienia życia religijnego i dopomóc katechecie w jego pracy duszpasterskiej dobrowolne zrzeszenia młodzieży o charakterze religijnem, zwłaszcza dobrze prowadzone sodalicje marjańskie. Podkreślam: dobrze prowadzone. I ta sprawa nadaje się do szczegółowego omówienia na kursach katechetycznych i w kołach XX. katechetów.

d) Osobistość katechety duszpasterza jest wprost pierwszorzędnym czynnikiem wychowawczym i duszpasterskim. Zdanie Arystotelesa (Rhet. I. c. 2 n. 4), iż osobistość mowcy wpływa na skutek jego mowy, że od niej (osobistości) zależy wiele, nawet wszystko, ma pełne zastosowanie, gdy idzie o działalność wychowawczo-duszpasterską katechety. Znany pedagog Waitz powiada słusznie, że etyczne (wychowawcze) działanie nauczania zależy w znacznej części nie tyle od doboru materjału i metody, ile raczej od osobistości wychowawcy; powód tego określa trafnie jeden z poetów niemieckich (Adalbert Stifter): „Uczyć jest znacznie łatwiej niż wychowywać: aby dobrze uczyć, wystarczy mieć wiedzę i talent nauczania; aby skutecznie wychowywać, trzeba czemś być“. Słusznie też żąda nowy kodeks (can. 1373. § 2), by na stanowisko katechetów zwłaszcza w szkołach średnich naznaczano „sacerdotes zelo et doctrina praestantes“: wszak katecheta, to wobec dziatwy jedyny oficjalny reprezentant Chrystusa i Jego Kościoła, nieraz jedyny niestety przedstawiciel chrześcijańskiej tendencji i myśli wychowawczej wśród grona obojętnych lub na niekatolickim stanowisku stojących nauczycieli-wychowawców.

Nie mogę ani wyczerpać, ani nawet naszkicować w jednym referacie wszystkich przymiotów katechety-nauczyciela, ani kate-

chety-wychowawcy. Każdy przymiot naturalny lub nadnaturalny będzie katechecie pomocą w pracy wychowawczej, każdy błąd, choćby czysto zewnętrzny, może stanowić w niej walną przeszkodę. Że kapłan wychowawca musi mieć silną wiarę, być mężem modlitwy i pracy, mieć dobrą opinję, posiadać pewne minimum zdrowia, zdolności, wymowy — to rozumie się chyba samo przez się. Wspomnę tylko krótko o kilku bardzo ważnych, a nieraz niedocenianych środkach w pracy wychowawczo-duszpasterskiej.

a) Poważna, solidna wiedza ogólna, a zwłaszcza teologiczna, ułatwia i umożliwia kapłanowi nietylko nauczanie, ale także i wpływ wychowawczo-duszpasterski w szkole. Dzieci, a zwłaszcza starsza młodzież, ceni głęboką naukę wychowawcy i nabiera zaufania do jego osoby i jego nauczania; nauka zapewni mu także poważanie i wpływ w gronie świeckich kolegów; braki w wiadomościach religijnych nie ujdą bystrych oczu naszych małych obserwatorów i podkopią zaufanie do naszych słów. Tylko „sacerdotes doctrina praestantes“ mogą skutecznie uczyć i skutecznie wychowywać.

b) Dokładne obmyślenie i przygotowanie każdej lekcji czy egzorty, zwłaszcza przez młodszego i mniej doświadczonego katechetę, jest oczywiście niezbędne, by lekcja mogła wypaść dobrze pod względem nauczania. Lekcja nieprzygotowana, to zwykle zmarnowanie cennego a tak szczupło wymierzonego czasu nauki religji. Ale taka lekcja będzie też zmarnowana pod względem wychowawczo-duszpasterskim; katecheta, który nie obmyśli zgóry, jakim potrzebom duchowym młodzieży i w jaki sposób ma zaradzić, nie potrafi wyzyskać należycie tej krótkiej godziny religji, by przyjść swym uczniom z radą i pomocą. A jeżeli dziatwa zauważy, że lekcja religji idzie jakoś nieskładnie i że ksiądz katecheta baraszkuje na godzinie, zamiast uczciwie pracować, czy to może działać dodatnio na młodzież, czy to nauczy ich porządku i obowiązkowości, do których ten sam katecheta może często i wymownie nawołuje?

c) Porządek, ład, aktualność, punktualność, wszak to przymioty, owszem cnoty naturalne, wybitnie społeczne, których rażący brak w naszem społeczeństwie łatwo zauważy każdy nawet powierzchowny obserwator naszego zbiorowego życia. Narzekamy często na to, że młodzież jest w szkole nieporządna, nieakuratna, niepunktualna. A skąd ma dziatwa i młodzież wynieść zamiłowanie ładu, punktualności i ścisłości? Nie daje jej w tym względzie

często dobrego przykładu dom rodzicielski, nie świeci nim nieraz i szkoła. A katecheta duszpasterz? Jeżeli katecheta opuszcza dla lada przyczyny szkołę, przychodzi późno do klasy, niezachowuje ładu i porządku w nauczaniu, jest sam nieścisły i nieakuratny w wykładzie, to niech się nie dziwi, że młodzież daje odpowiedzi nieścisłe i niedbałe, nie bierze na serjo obowiązków szkolnych; co gorsza, nauczy się, iż można i w późniejszem życiu spełniać obowiązki religijne i obywatelskie byle jak, nieporządnie i nieakuratnie. Duszpasterz zaś, który przyświeca stale przykładem akuratności i punktualności nie potrzebuje zużywać wielu słów i moralizowania, by zaprawić młodzież do tych samych przymiotów wszak „verba volant, exempla trahunt".

d) T a k t jest przymiotem wprost nieocenionym dla duszpasterza-wychowawcy: Takt wobec władzy szkolnej, wobec kolegów, wobec młodzieży, wobec rodziców dzieci. Brak taktu, niezręczność może zniweczyć najpiękniejsze owoce wiedzy i gorliwej pracy wychowawczej. Taktu potrzebuje katecheta już jako nauczyciel: dobrać odpowiednio materjał każdej lekcji, unikać szablonu, dostosować się do indywidualnego poziomu umysłu każdej klasy, każdego dziecka. Takt potrzebny mu jako djagnoście, badaczowi duszy każdego wychowanka. Wiele taktu potrzebuje przedewszystkiem jako duszpasterz-wychowawca, by znaleść zawsze środkową złotą drogę między zbytnią łagodnością a surowością, sztywnością a spoufaleniem się z młodzieżą, między zbytnim pośpiechem a ślamazarną powolnością, w stosowaniu nagród i kar i t. d. Dużo znaczy wrodzony takt katechety, wiele może dopomóc d o b r e w y c h o w a n i e w domu, w szkole, w seminarjum. Ale przecież r o z t r o p n o ś ć (prudentia) jest także cnotą i to cnotą kardynalną! Nabywamy ją przez baczną obserwację siebie i drugich, przez ćwiczenie się w cierpliwości, przez refleksję i rachunek sumienia. Godzi się też poprosić Dawcę wszelkiego daru dobrego o „Spiritum rectum, Spiritum sapientiae et discretionis".

e) Józef Jungmann czyni w swej nauce wymowy (Theorie der geistlichen Beredsamkeit. Wyd. IV R. IV kp. 4) trafną uwagę, iż rzadko znajdujemy na fotografji postać, a zwłaszcza twarz człowieka, któraby miała swój zwykły, naturalny wygląd i była wolna od pewnej pozy. Pochodzi to bezwątpienia stąd, iż człowiek „pozujący" do fotografji zdaje sobie sprawę, iż ma być w tej chwili „uwieczniony" w obrazie, stara się zatem przybrać jakiś

specjalnie uroczysty wyraz twarzy, jakiś szczególnie nadobny układ ciała i tak powstaje nie wierny obraz rzeczywistego człowieka, ale... nieraz karykatura.

Kiedy kapłan występuje w swym charakterze „urzędowym“ jako liturg, kaznodzieja, katecheta popada łatwo w ten sam błąd, co człowiek przed aparatem fotograficznym: chcąc uwypuklić uroczystość chwili, przybiera sztuczną pozę, chcąc podkreślić swoją misję nadnaturalną, staje się bardzo łatwo nienaturalnym: nienaturalnym w postawie, w geście, a zwłaszcza w mowie. Zapomina o tem, że „gratia non destruit sed perficit naturam“; stara się sztucznie usunąć cechy swej osobistości, a popada w szablon i rutynę. A jeżeli gdzie, to w szkole przynosi nienaturalność, poza, chodzenie na koturnie nieobliczalne szkody, a naturalność jest wybitnym środkiem wychowawczym i duszpasterskim.

Jeżeli wobec wychowanków jesteśmy sobą, jeżeli przedstawiamy wobec nich indywidualną, konkretną osobistość, to zyskujemy zaufanie do naszej osoby a (co za tem idzie) do naszych słów, nauk, wskazówek. Tylko wychowawca, który reprezentuje jakąś indywidualną wartość, może wychować młodzież indywidualnie, na żywych, czynnych, samodzielnych chrześcijan, a nie na manekiny. Natomiast jeżeli katecheta jest wobec swych wychowanków sztuczny i nie jest sobą, to dzieci, nawet małe, wyczują to bardzo łatwo, katecheta może się łatwo ośmieszyć, osłabia w każdym razie zaufanie do osoby, a co gorsza, do nauk i wskazówek kapłana.

A zatem: unikać nienaturalności nawet w rzeczach zewnętrznych (strój, postawa, chód, sposób wyrażania się), bacznie kontrolować się, by nie wpaść w sztuczny patos, nie nabrać sentymentalnych, kobiecych manier. Proste, męskie postępowanie, słowność, dobry humor (nie dowcipkowanie), naturalna uprzejmość ujmują wszystkich: nawet pewne usterki charakteru (popędliwość, szorstkość) mniej rażą, gdy między młodzieżą a katechetą panuje szczerość i wzajemne zaufanie.

f) „Justitia regnorum fundamentum“; sprawiedliwość jest także podstawą małego światka szkolnego, a katecheta-duszpasterz, który przecież zaleca młodzieży tę cnotę jako jedną z kardynalnych, powinien także przyświecać jej przykładem w szkole. Sprawiedliwość w klasyfikowaniu, sprawiedliwość w ocenie obyczajów, sprawiedliwość w nagradzaniu i karaniu —

oto hasło każdego nauczyciela wychowawcy. Oczywiście „summum ius“ może stać się łatwo w stosunku do dziatwy „summa iniuria“: nie można bezwzględnie tego samego domagać się od każdego dziecka, należy uwzględniać zdolności, dobrą wolę, stosunki domowe wychowanka; nie należy żądać tego samego od wychowanka, któremu Bóg dał pięć talentów co od biedaka, który ledwo jeden dostał; można, owszem wypada, by kapłan, reprezentant miłośnika dziatwy, Chrystusa, reprezentował przedewszystkiem Jego miłość i pobłażliwość. Nie wolno jednak np. nagradzać dobrą notą z religji rzeczywistej lub udanej pobożności, bo to może wytworzyć hipokryzję; nie należy karać złą notą z przedmiotu wykroczeń dyscyplinarnych, a nawet etycznych, gdyż to budzi w wychowanku poczucie krzywdy! Usunąć należy stanowczo wszelką „acceptio personarum“, wszelki wzgląd na stanowisko rodziców dziecka, na własne stosunki towarzyskie z rodziną wychowanka, na przymioty wychowanka, które mogą budzić naturalną sympatję lub antypatję w wychowawcy. Pragnie kapłan mieć w klasie ulubieńców: biedne dziecko, brzydkie dziecko, dziecko zaniedbane pod względem umysłowym lub etycznym — oto faworyci prawdziwego duszpasterza!

g) D o b r o ć jest w duszpasterskich stosunkach z ludźmi, a zwłaszcza w duszpasterskiej pracy nad młodzieżą może najpotężniejszym czynnikiem. Kiedy starsi wspominają swe szkolne lata, to dzielą swych byłych katechetów na dwie kategorje: na dobrych i złych: widocznie ze wszystkich przymiotów katechety najsilniej utkwiło w ich pamięci i sercu dobroć księdza katechety, lub brak jej. Proszę mnie dobrze zrozumieć. Dobroć katechety, to nie jakaś niemęska miękkość i słabość, która nie wymaga żadnej pracy wychowanka przy nauce religji, która pobłaża bezkrytycznie wszystkim wybrykom młodzieży, a tem samem propaguje bezkarność w szkole i poza szkołą. Taka dobroć nie jest czynnikiem wychowawczym, ale wprost demoralizującym; a młodzież ocenia ją — rzecz charakterystyczna, jako słabość i niedołęstwo wychowawcy, a zatem nie ma dla niej uznania, ani wdzięcznej pamięci. Prawdziwie dobry katecheta może być wymagającym, może dbać o ład i karność, może być nawet umiarkowanie i sprawiedliwie surowym, ale musi być w szkole rzecznikiem słusznych i uczciwych żądań młodzieży wobec grona nauczycielskiego, musi okazywać zainteresowanie potrzebami i kłopotami swych wychowanków,

musi brać czynny i żywy udział we wszystkiem, co młodzież cieszy lub boli; musi mieć także otwartą rękę dla potrzeb materjalnych swych wychowanków, musi być inicjatorem a przynajmniej wybitnym współpracownikiem we wszystkich poczynaniach dla ich dobra. Taki „dobry" katecheta ma młodzież w ręku i może ją prowadzić do Chrystusa; jego słowo i przestroga zaważy nietylko w życiu dziecka i młodzieńca w szkole, ale będzie nieraz wskazówką i zachętą dla niego, gdy już dawno opuści mury szkolne, może jedyną nicią, łączącą go z Chrystusem i Kościołem.

III. A skądże zaczerpnie kapłan-duszpasterz w swej pracy żmudnej w szkole siły i światła do wszechstronnego wyzyskania tych i wielu innych środków do pełnienia swego urzędu? Jak potrafi wytworzyć tę świetlaną radosną atmosferę, jaka powinna panować w szkole zwłaszcza na godzinie religji? Jak przełamać i przezwyciężyć znudzenie i zniechęcenie, które tak łatwo powstaje wobec monotonji zajęcia szkolnego, wobec fizycznego i duchowego wyczerpania, wobec rzeczywistych lub pozornych niepowodzeń i zawodów w pracy?

Św. Augustyn zna to zniechęcenie, to „taedium animi", które odbiera katechizującemu radość i gorliwość w pracy (hilaritas), a zatem jest walną przeszkodą w skutecznem nauczaniu i oddziaływaniu na wychowanka: „mihi prope semper sermo meus displicet" (De cathech. rudib. c. II.). Jakie lekarstwo wskaże nam na to genjalny myśliciel i znakomity duszpasterz? Jedno jedyne: miłość. Miłość Boga, miłość sprawy Bożej, jaką jest niewątpliwie katechizowanie, miłość dusz powierzonych pracy katechety-duszpasterza. Ta miłość da katechecie dość siły do przezwyciężenia tych przeróżnych i niemałych trudności, które go czekają w jego zbożnej pracy. „Quem dii odere, paedagogum fecere" — to pogańskie zdanie pedagoga-niewolnika nie może mieć zastosowania do pracy katechety-duszpasterza, do tej pracy, na której cześć wyśpiewał wielki duszpasterz św. Jan Złotousty ten wspaniały hymn: „Quid maius, quam animis moderari, quam adolescentium fingere mores? Omni certe pictore, omni certe statuario ceterisque huiusmodi omnibus excellentiorem hunc duco, qui iuvenum animos fingere non ignorat!"

Kiedy katechecie ciężko i trudno w szkole, niech sobie wyobrazi, że sam Bóg powierza jego opiece każde dziecko z osobna: „weźmij to dziecię i wychowaj mi, a ja tobie dam zapłatę (Exod.

II. 9.)". A zapłata to iście nie mała i nie skąpa: „qui ad iustitiam erudiunt multos, (fulgebunt) quasi stellae in perpetuas aeternitates (Dan. XII. 2)". *Lwów* *Ks. dr. Adam Gerstmann*

Nauczanie religji w szkołach wiejskich.

Jednym z najważniejszych czynników w duszpasterstwie to szkoła powszechna — a w szczególności pierwszeństwo trzeba oddać szkołom wiejskim — nie tylko dla liczby, że ich więcej, że nauczanie w nich trudniejsze, lecz przedewszystkiem dlatego, że to najmłodsi parafjanie wypełniają jej ściany, którzy tu wychowują się na przyszłych obywateli Kościoła i Ojczyzny, że przeważnie wszyscy po skończeniu tej szkoły pozostaną na miejscu. Im więcej ta szkoła oddalona od kościoła parafjalnego, im mniej w niej polskich dzieci, tem więcej potrzebują opieki i nauki, aby przez nich nie tylko utrzymać, ale pomnożyć stan posiadania.

Nic więc dziwnego, że gorliwi duszpasterze otaczają te szkółki najtroskliwszą opieką — bo od szkoły zależeć będzie przyszłość parafji.

Jak w konfesjonale spotykamy się bezpośrednio ze sumieniem, tak w szkole z umysłem i sercem dziecięcia; tu najlepsza sposobność poznania duszy dziecięcia, jego zdolności, jego skłonności dobrych i złych.

Wychowując młode pokolenia w szkole wiejskiej, poza miarą przeciętnego parafjanina, musimy zawsze mieć przed oczyma tych ludzi, te typy, tych pewnych i stałych pomocników, których nam w parafji potrzeba.

Potrzeba nam katechistów czy katechistek, to wypatrujmy ich już w szkole, szukajmy, które z nich z największem zainteresowaniem słucha naszych nauk, z jakiem zamiłowaniam i ciekawością, jak je łatwo pojmuje — takich trzeba szczególniejszą otoczyć opieką — trzeba wyrabiać w nich gorliwość apostolską, pogłębiać naukę przez odpowiednią, poddaną lekturę.

Tam znowu dziecina pobożna, zamiłowana w modlitwie biorąca chętny udział w nabożeństwach — to przyszły zelator lub zelatorka, więc troskliwie podtrzymajmy tego ducha.

Tu znowu chłopak ruchliwy, zdolny, umiejący narzucić swą wolę słabszym, zaimponować w sposób sobie właściwy, czasem

mały zawadjaka, chcący uchodzić za dorosłego — to może przyszły pomocnik w organizowaniu młodzieży — pamiętajmy i o nim, nie spuszczajmy go z oka, bo może przez niego uchwycimy i poprowadzimy innych, a co mu dobrego podsuniemy, to on przeprowadzi.

Chcemy, aby w parafji panowała moralność, trzeźwość, pracowitość, oszczędność, to baczmy pilnie, aby dzieci szkolne nie brały udziału w weselach, po karczmach, muzykach, chrzcinach, stypach, rozmaitych „praźnikach“ i t. p. okazjach; odwodźmy je od tego wszelkimi środkami, bo przez młodzież przyjdzie odrodzenie.

Chcemy, aby modne tańce czy stroje nie wtargnęły do naszych wiosek, to od dzieciństwa, od lat szkolnych zaszczepiajmy jak największą wstydliwość, uczmy bojaźni Bożej, uodporniajmy je zawczasu przed zgubnym wpływem miast, bo one wcześniej czy później z tymi wpływami się zetkną.

Chcemy swoich parafjan widzieć często przy Stole Pańskim — to już w szkole zabiegajmy o to, aby młodzież z własnej ochoty często się komunikowała.

Mamy szlachetną ambicję, by z naszej parafji wyszedł dzielny sługa ołtarza — może już wśród malców zauważymy chłopaka z rodziny bogobojnej, utalentowanego i pobożnego, a gdy dostrzeżemy w nim iskierkę powołania kapłańskiego — zaopiekujmy się nim troskliwie, pokonferujmy z rodzicami co do dalszego jego losu; a gdy im w miarę możności pomocy swojej nie odmówimy, to z pewnością zadecydują: „sprzedajmy dwa woły, niech idzie do szkoły... a może, a może i księdzem zostanie“.

Praca to bardzo trudna. Przedewszystkiem w naszej kresowej archidiecezji przypada na jednego kapłana szkół wiejskich kilka, a nawet kilkanaście; dodajmy do tego, że młodzież wiejska jest ciężka do nauczania, bo z reguły rozwija się później; prawie wszędzie mamy wszystkie stopnie nauki o rozmaitym poziomie umysłowym przed sobą zebrane; nauka religji nie wszędzie może się odbywać regularnie; do tego trzeba nieraz dodać trudności językowe tam, gdzie młodzież w domu nie posługuje się językiem ojczystym.

Cóż mam mówić o planach nauczania dla tych szkół? Właściwie trzebaby skonstruować indywidualnie dla każdej szkoły osobny plan, stosownie do ilości godzin, do ilości i jakości dzieci,

bo dotychczasowe plany diecezjalne biorą pod uwagę tylko normalne szkoły, gdzie nauka odbywa się w każdej klasie osobno, względnie w dwóch lub trzech oddziałach razem.

Jako plan normalny dla szkół wiejskich — na podstawie praktyki — uważam plan trzyletni, tak, aby dzieci w ciągu swej sześcio czy siedmioletniej nauki przerobiły dwa razy cały materjał. Jeżeli w szkole wiejskiej odbywa się nauka raz w tygodniu, to po uwzględnieniu ferji i świąt, odbędzie się około 36 lekcji. Plan niżej podany jest oparty na regularnej tygodniowej nauce, ale może być także wyczerpany przy niewielkich skrótach i tam, gdzie nauka rzadziej się odbywa, bo z reguły lekcje nasze nie są tylko pięćdziesięciominutowemi godzinami.

Plan szczegółowy:

W pierwszym roku historja biblijna; i tak: 1) Od początku roku szkolnego do adwentu, t. j. około 12 lekcji: Stary Zakon, a więc: stworzenie świata, aniołów, ludzi, ich upadek, obietnica Odkupiciela, a na podstawie tego o doskonałościach Bożych i objaśnienie „Modlitwy Pańskiej“ — następnie Kain i Abel, Potop, Abraham i Izaak, Józef egipski, Mojżesz, 10 przykazań, prorocy. 2) Od adwentu do Wielkiego postu — około 10 lekcji: Zwiastowanie, narodzenie P. Jezusa, pokłon pasterzy, 3 Króli, ucieczka do Egiptu, Nazaret, dwunastoletni P. J. w świątyni, chrzest P. Jezusa, cud w Kanie gal., wskrzeszenie w Naim, burza na morzu, nakarmienie 5.000 mężów, P. Jezus miłośnik dzieci, przypowieści P. Jezusa, wskrzeszenie Łazarza. 3) W wielkim poście — 6 lekcji: Ostatnia Wieczerza, o Najśw. Sakramencie i Mszy św., i Męka Pańska, droga krzyżowa, bolesna część różańca. 4) Od Wielkanocy do końca roku: Zmartwychwstanie, ustanowienie Sakramentu Pokuty, św. Piotr głową Kościoła (hierarchja), wniebowstąpienie, zesłanie Ducha św., rozszerzenie Kościoła.

W drugim roku: Skład apostolski, o nadziei chrześć. i modlitwie, przykazania boskie i kościelne. Na Skład apostolski przeznaczam 17 lekcji, o nadziei i modlitwie (w tem szczegółowo Modlitwa Pańska, Pozdrowienie anielskie, Anioł Pański, różaniec) 6 lekcji. O przykazaniach 14 lekcji, w tem po każdej grupie jedna lekcja na powtarzanie.

W trzecim roku: O łasce i sakramentach i sprawiedliwości chrześcijańskiej. 3 lekcje o łasce — 1. pojęcie łaski, 2. łaska uczynkowa, 3. łaska uświęcająca. 1 lekcja pojęcie i podział Sa-

kramentów, 1 l. chrzest, 1 l. bierzmowanie, 8 lekcji o Sakramencie Pokuty i odpustach (szczegółowo warunki do Spowiedzi św.) 8 lekcji Najśw. Sakrament (szczegółowo Komunja św., Msza św. i sposób słuchania Mszy św.) 1 lekcja Ostatnie namaszczenie, 1 o Sakr. kapłańistwa i małżeństwa, 1 lekcja o sakramentaljach, 2 lekcje: powtórzenie o łasce i Sakramentach; 4 lekcje o grzechu, 5 lekcji o dobrych uczynkach i cnocie.

Aczkolwiek dzielę materjał na trzy lata, to jednak biblja musi ciągle stanowić podłoże nauki przez wszystkie lata, bo jako materjał poglądowy łatwiej działa na wyobraźnię dziecka; z biblji trzeba wysnuwać określenia prawd wiary czy też zastosowania moralne, obejmujące stosunek dziecka do Boga, siebie i bliźnich. Dla ułatwienia i utrwalenia nauki konieczne są obrazy. Jeżeli nie w każdej szkole, to w każdej parafji powinien być komplet obrazów biblijnych. (Komplet 238 obrazów St. i N. Zakonu na tekturze wydała księgarnia i instytut sztuk pięknych w Poznaniu, cena 50 zł na raty; 40 zł za gotówkę). Wprawdzie w nauce biorą udział wszystkie dzieci, lecz zajmować się trzeba głównie starszemi, które niezadługo opuszczą szkołę; młodsze tylko się przysłuchują i wyuczają odpowiednich modlitw.

Na początku roku trzeba dzieciom krótko przypomnieć to, czego się uczyły w roku poprzednim, a w ciągu roku bieżącego znajdzie się dość sposobności, by przypomnieć materjał lat poprzednich, tak, aby najważniejsze prawdy i zasady stały się duchową własnością dziatwy. Takie przygodne powtarzanie tego, co z bieżącym materjałem pozostaje w pewnym związku, budzi większe zainteresowanie do przedmiotu.

Jakich używać podręczników? Podręczniki szkolne: katechizm i biblja mają służyć dziatwie nie do nauczenia, lecz do przypomnienia sobie nauki słyszanej w szkole. W Archidiecezji lwowskiej urzędowym podręcznikiem jest: Mały katechizm rzym.-kat. wydany przez Bibljotekę Religijną we Lwowie.

Wiem jednak z doświadczenia, jak mało dziatwa wiejska do nich zagląda, ale mogą one spełnić inne ważniejsze zadanie. Kiedy tym lub owym nowożeńcom kazałem powtórzyć sobie katechizm, gdy nie znali prawd wiary, zazwyczaj musiałem pożyczać swojego katechizmu, bo w domu nie mieli żadnego. Wobec tego w jednym roku we wszystkich szkołach w parafji zaprowadziłem jako podręcznik szkolny „Wielki ilustrowany katechizm“ i Biblję

X. Gadowskiego (podręczniki przeznaczone na Seminarja nauczycielskie). Rodzice zdziwili się; oglądali ten katechizm, czytali, bardzo im się podobał, lecz twierdzili, że dla dzieci za trudny; podzieliłem ich zdanie w zupełności i na drugi rok zamówiłem inne podręczniki; tamte zaś zostały dla starszych, więc cel swój osiągnąłem, a dziatwa nie wiele na tem straciła, że tylko obrazki przez jeden rok oglądała, bo i z najlepszym podręcznikiem tyle będzie umiała, ile nauczy się w szkole. Zmiana podręczników może zaopatrzyć domy naszych parafjan w katechizmy i biblje, które młodzież po opuszczeniu szkoły może wziąść do ręki, gdy odpowiednie przygotowanie i zachętę z niej wyniesie. Będzie to może zarazem jedyna polska książka niesprzedajna w każdym domu na naszych kresach.

Niesłychanie wielkiej wagi jest przygotowanie dzieci do pierwszej spowiedzi i Komunji św. Na bliższe jednak przygotowanie, które co roku się odbywa, niema czasu w szkole; nauka religji w szkole wiejskiej jest tylko przygotowaniem dalszem. Pierwsza spowiedź i Komunja św. wywiera swój wpływ nieraz na całe życie, dlatego przygotowanie do niej musi musi się odbyć osobno i z największą starannością; tego przygotowania nie zostawiłbym nawet zakonnicom, a tem mniej osobom świeckim, choćby nawet miały misję do nauczania religji. Im dzieci lepiej będą przygotowane, im pobożniej przyjmą te sakramenta, tem więcej zyskają łask bożych, a nawet pociech duchowych, a gdy „skosztują jak słodki jest Pan“, to później do częstej Komunji św. nie wiele trzeba będzie zachęty; ale po pierwszej Komunji św. niech nie czekają aż do następnej spowiedzi szkolnej. Aby dzień pierwszej Komunji św. pozostał na zawsze w ich pamięci, trzeba ją urządzić jak najuroczyściej — wspólnie w kościele parafjalnym dla wszystkich dzieci z parafji — stosownie do przepisów Kurendy II z r. 1911. Zamiast obrazka najpraktyczniejszą pamiątką będzie książeczka do nabożeństwa; nie wiele to większy wydatek, jeżeli się uwzględni tanie wydawnictwa św. Michała Archanioła w Miejscu Piastowem, czy też Bibljotekę Religijną we Lwowie, a zaopatrzy się dziatwę w odpowiednie modlitewniki, których im często brakuje.

Nauczanie w szkole wiejskiej to zarazem praca duszpasterska, która polega na zaprawianiu do praktyk religijnych i życia

chrześcijańskiego. Teoretyczne wyuczenie, choćby na pamięć wszystkich prawd wiary — czy całej historji biblijnej — to jeszcze nie wszystko, bo „sprawiedliwy z wiary żyje“ (Gal. III, 11). Nauka religji ma wychować prawdziwych chrześcijan, wzorowych parafjan i zapewnić im zbawienie. To czego się dzieci w szkole nauczą, muszą w czyn wprowadzić. Obok teorji musi być praktyka, do której od najwcześniejszej młodości trzeba ją zaprawiać.

Na które więc praktyki trzeba nam zwrócić szczególniejszą uwagę? Pierwsza z nich to modlitwa. Dzieci muszą nabrać ducha modlitwy, aby się modliły chętnie i pobożnie. Nietylko zaczynać i kończyć modlitwą, ale cała nauka powinna być przejęta duchem modlitwy, powinna budzić pobożne uczucia w sercach dziatwy. Aby się dzieci modliły, trzeba im nietylko objaśnić i poprawnie wyuczyć modlitw porannych i wieczornych, czy aktów wiary, nadziei i miłości, czy wreszcie tego wszystkiego co się mieści w „dodatku do katechizmu“, ale przynajmniej od czasu do czasu wspólnie się z niemi pomodlić, trzeba odbyć wspólną praktykę, gdy się tylko sposobność nadarzy — a więc: w południe odmówić „Anioł Pański“; gdy kościół w miejscu po ostatniej lekcji wspólnie nawiedzić Najśw. Sakrament, a zachęcić do prywatnego nawiedzenia, w październiku nie zapomnieć o różańcu (choćby jednej tajemnicy); w okresie Bożego Narodzenia, gdy jest szopka w kościele, wspólnie Panu Jezusowi zakolendować, w Wielkim poście objaśnić i króciutko odprawić „Drogę krzyżową“; w maju zachęcić do nabożeństwa majowego czy to w kaplicy czy w szkole, postarać się o czytanki majowe, przytem zwrócić uwagę jak się zachowują przed i po nabożeństwie; przypomnieć jak to pięknie, kiedy dzieci stroją kwiatami figury przydrożne; przed każdem świętem objaśnić znaczenie obrzędów: roraty, pasterka, święcenie kadzidła, gromnic, popiołu, obrzędy wielkotygodniowe i t. d. — będzie to zarazem zachęta do wzięcia udziału w nabożeństwie; zapytać czy noszą poświęcone medaliki, pouczyć o łaskach i odpustach do tych praktyk przywiązanych. Dzieci starsze zanim opuszczą szkołę wpisać do żywego różańca.

Niemniej trzeba dołożyć starań, aby dzieci nauczyły się jak najwięcej pieśni kościelnych, bo qui cantat bis orat — i jeżeli w wielu parafjach śpiew kościelny podupada i zanika, to często przyczyna tkwi w szkole. Jest wprawdzie przepis polecający nauczycielom świeckim uczenie pieśni kościelnych, lecz bardzo

często zaniedbany; roztropność duszpasterska powinna wskazać środek, jak tej sprawy przypilnować, a obowiązkiem naszym będzie pieśni wyuczone objaśnić. Pieśń religijna będzie zarazem ostoją ducha narodowego.

Ważną rzeczą wychowawczą jest zainteresowanie dzieci misjami katolickiemi — zwłaszcza przy nauce o Kościele, czy przy drugiej prośbie „Modlitwy Pańskiej"; a nie przychodzi to trudno, bo ich serca są wrażliwe na niedolę „murzynków" — i na ten cel chętnie złożą choć raz w roku jakąś drobną ofiarę i pomodlą się na intencję misji.

Największym skarbem naszej wiary św. — to ofiara Mszy św. Jakże często rodzice nie dbają o to, aby ich dzieci uczęszczały pilnie do kościoła, a przecież to przykazanie obowiązuje pod grzechem ciężkim. Aby to przykazanie dziatwa należycie wypełniała, potrzeba jej nietylko objaśnić i wytłumaczyć znaczenie obrzędów Mszy św., nauczyć słuchania, wskazać jej owoce i pożytki, ale na każdej lekcji zapytać: Kto nie był w niedzielę czy święto na Mszy św.? Pochwalić pilnych, wpływać na opieszałych, badać usprawiedliwienia, zwrócić uwagę rodzicom, stawiać przed oczy piękne przykłady nie tylko dawne czy dalekie, lecz i miejscowe, bo te silniej działają.

Może najtrudniejszą praktyką dla dzieci to częste przystępowanie do Sakramentów św., zwłaszcza tam, gdzie kościół daleko i gdzie nie ma wyboru spowiednika, gdzie sam uczący jest zarazem spowiednikiem; wtedy tylko bardzo oględnie można nakłaniać i zachęcać, ale gdy będzie okazja spowiedzi przed innym kapłanem trzeba nalegać usilnie. Przeważnie jednak — jak poprzednio wspomniałem — praktyka częstej Komunji św. zależeć będzie od dobrego przygotowania do pierwszej Spowiedzi i Komunji św.

Czem w parafji odpust, tem dla dzieci szkolnych powinien być dzień ich Patrona św. Stanisława Kostki. W tym dniu niejako obowiązkowo, choć z własnej ochoty powinny wszystkie przystąpić do Stołu Pańskiego. Niech dziatwa pozna dokładnie żywot św. Młodzieniaszka, aby go mogła we wszystkiem naśladować, a obchody ku Jego czci urządzajmy tak, jak nam to co roku przypomina nasz Najdostojniejszy Arcypasterz.

Oto uwagi, które mi się nasunęły przy temacie o nauczaniu religji w szkole wiejskiej z punktu widzenia duszpasterza.

Duszpasterstwo w szkole wiejskiej, to pierwszorzędny czynnik, bo to praca dla przyszłości Kościoła i Ojczyzny, a praca żmudna i trudna i może ze łzami siać będziemy — ale z radością zbierać, bo przez młodzież odnowi się parafja, gdy

„wyjdzie nowy świat ducha,
a młodzież go pocznie w swem łonie“.

Lwów *Ks. Apolinary Wałęga*

O rozszerzenie praktyki częstej Komunji św.

Praktyka częstej i codziennej Komunji św. została w czasach naszych wznowiona przez dekrety wydane w tej sprawie przez wielkiej pamięci papieża Piusa X. Hasłem jego było: *instaurare omnia in Christo.* Życie Chrystusowe, zaszczepione w duszach przy Chrzcie św., powinno się rozwijać, powinno dojrzewać *usque ad perfectionem;* środkiem zaś najznakomitszym do tego jest częste sakramentalne łączenie się człowieka z Bogiem.

Doniosłe znaczenie dekretów wspomnianych polega na tem, że została niemi autorytatywnie określona rola Komunji św. w życiu naszem, mianowicie głównie to, że Komunja św. nie stanowi tylko środka uczczenia Boga ani nagrody cnoty czy postępu duchownego, ale jest raczej przedewszystkiem warunkiem i środkiem tego postępu. W dekrecie *Sacra Tridentina* czytamy: „Jeżeli zaś Chrystus i Kościół życzą sobie, by wszyscy wierni codziennie przystępowali do Stołu Pańskiego, to życzeniu temu na pierwszem miejscu ta myśl przyświeca, by wierni, złączeni z Bogiem w Najświętszym Sakramencie, z niego czerpali siłę do zwyciężenia namiętności, do pozbycia się drobnych, powszednich przewinień, do ustrzeżenia się ciężkich upadków, na jakie wystawiona jest ludzka ułomność — nie zaś myśl, aby Komunja święta była głównie środkiem uczczenia i uwielbienia naszego Zbawiciela, albo rodzajem zapłaty czy nagrody za cnotliwe życie. (Św. Aug. Kaz. 57 na Ew. św. Mat. o modl. Pańsk. r. 7). Stąd św. Sobór Trydencki nazywa Eucharystję „lekarstwem, które z grzechów powszednich oczyszcza, a od śmiertelnych broni“ (Sess. 13, r. 2). Przez orzeczenie powyższe został obalony przesąd, jakoby częsta Komunja św. była przywilejem dusz wyjątkowych, jak to mylnie utrzymywał Janzenizm, równocześnie zaś powtórzoną została i z wielką siłą podkreślona zasada P. Jezusowa, że nie zdrowi potrzebują lekarza,

ale którzy się źle mają (Mar. 2, 17). Deklaracja ta została wydana dla ludzi dobrej woli, którzy myślą rzetelnie o postępie duchownym, choć ulegają słabościom powszednim, gdyż, jak zaświadcza Duch Św.: „w wielu upadamy wszyscy“ (Jak. 3, 2).

Wezwaniem do częstej Komunji św. skierował Pius X świat cały do mocy niezawodnej, do Boga, który oświadczeniem Swojem *Sine me nihil potestis facere,* zachęcił był ludzi do tego, by się na Nim oparli, co więcej, by weszli z Nim w tak ścisły związek, w jakim złączona latorośl winna z winnym szczepem. W częstej Komunji św. zostało światu zemdlonemu objawionem źródło mocy i świętości.

Chcąc ludziom źródło to uprzystępnić, określił Pius X w dekretach odnośnych jasno i niedwuznacznie warunki potrzebne do częstej i codziennej Komunji św., a za warunki te uznał stan łaski i dobrą czyli czystą intencję. Jak wiadomo zaś, tylko grzech ciężki stoi na przeszkodzie stanowi łaski, wyrazem zaś i potwierdzeniem dobrej intencji jest szczera chęć złączenia się z Bogiem; intencji takiej byłyby zaś przeciwne pobudki tylko przyziemne, np. chęć odznaczenia się przed ludźmi, korzyść materjalna lub coś podobnego. Określeniem tych warunków zostało też nadzwyczaj uproszczone przygotowanie do Komunji św., zwłaszcza w sposób negatywny, przez pominięcie milczeniem aktów pobożnych i środków dewocyjnych, o których tyle rozprawiali dawni autorowie ksiąg ascetycznych, a w których się wprost przelicytowywali, obmyślając lub raczej wymyślając jako środki do Komunji św. rzekomo potrzebne, stany duszy niemal ekstatyczne.

Po dekrecie o częstej i codziennej Komunji św. w r. 1905 p. t. *Sacra Tridentina,* nastąpił dekret *Quam singulari* w r. 1910 o wczesnej Komunji św. dzieci, a przedtem, w r. 1906 zostały także wydane postanowienia o Komunji chorych, które również tym cierpiącym fizycznie dają możność częstego łączenia się z Bogiem Utajonym, przez zwolnienie ich od postu naturalnego, gdyby obowiązek zachowania tego postu uniemożliwiał im przyjmowanie Komunji św. Z dyspensy tej mogą, jak wiadomo, chorzy korzystać dwa razy w tygodniu, jeśli mieszkają w domu, w którym jest przechowywany N. Sakrament (np. w seminarjach duchownych, w szpitalach niektórych i w domach zakonnych), zaś dwa razy w miesiącu, jeśli N. Sakrament ma być do nich przenoszony z Ko-

ścioła lub kaplicy znajdujących się nazewnątrz i oddzielnie od ich mieszkania.

Poprzestaję na wymienieniu tych dekretów, dla reformy praktyki częstej i codziennej Komunji św. zasadniczych, a pomijam dekrety inne, w których mowa jest o niektórych udogodnieniach, np. o Komunji w nocy Bożego Narodzenia, dalej o odpustach przywiązanych do praktyki częstej Komunji św. i t. p. Zależy mi bowiem na uwydatnieniu tematu właściwego, na krótkiem uzasadnieniu tej praktyki oraz na przedstawieniu środków, któremi rozporządza duszpasterz dla rozkrzewienia praktyki częstej Komunji św.

Wezwaniem Stolicy Świętej do częstej i codziennej Komunji św. została sprawa przesądzoną; *Roma locuta, causa finita.* Dekret *Sacra Tridentina* wyklucza nawet bezowocne spory o tym przedmiocie, gdyż orzeka wyraźnie, że „wszyscy pisarze kościelni mają się odtąd wstrzymać od spornych rozpraw w przedmiocie usposobienia duszy, jakiego wymaga częsta lub codzienna nawet Komunja św.". Krytyka zatem dekretu równałaby się krytykowaniu najwyższego magisterium w Kościele, jest zatem niedopuszczalną i wprost wykluczoną. Dyskusje na temat postanowień Kościoła co do częstej Komunji św. mogą być najwyżej obmyślaniem sposobów, jakimi można najrychlej i najskuteczniej tę praktykę błogosławioną wprowadzić w życie.

Gdy mowa o reformie praktyki częstej Komunji św., to należy w samem założeniu podkreślić, że nie chodzi tu oczywiście o rozszerzenie praktyki częstej Komunji św. w sposób li tylko materjalny, t. j. ilościowy. Gdyby tak było, w takim razie byłyby na całej linji uzasadnione obawy, że praktyka częstej Komunji św. uwłóczyćby mogła czci należnej Najśw. Eucharystji, groziłaby zbytniem oswojeniem się z świętością tego Sakramentu, sprowadzałaby przyjmowanie Komunji św. do miary zwyczajnej ceremonji, do zwyczaju praktykowanego bezmyślnie i t. d. Obawy tego rodzaju okazują się jednakowoż płonnemi wobec właściwych i istotnych zamierzeń Stolicy Apostolskiej. Praktyka częstej Komunji św. zdąża do tego, by Eucharystja stanowiła ośrodek życia religijnego, nie była zaś uważana jako dodatek do tego życia, albo jako wyjątkowy wyskok ascetyczny. Bóg w Hostji utajony, zbliżający się do nas, chce być zawsze z nami, byśmy w naszem wygnaniu ziemskiem nie odczuli nigdy opuszczenia. *Non relinquam*

vos orphanos (Jan. 14, 18). Dalej, Ofiara krzyżowa Boga Wcielonego, utrwalona w bezustannej, bezkrwawej Ofierze Mszy św. ma nam umożliwić bezpośrednie uczestniczenie w niej i także również, bezpośrednie korzystanie z jej owoców. Pragnieniem zaś P. Jezusa, byśmy z Nim w tak ścisłej trwali spójni, jak szczep winny jest z latoroślami złączony (Jan 15, 5), byśmy dochodzili do Pawłowego „*vivo iam non ego, vivit vero in me Christus*" (Gal. 2, 20), pragnieniom tym i zamierzeniom Chrystusowym staje się zadość, gdy słowa Jego „*Accipite et manducate*" stosujemy do siebie. Pożywaniem Ciała Pańskiego godzimy się na to, by nami w zupełności Bóg zawładał i w tym celu staramy się o usunięcie wszelkich przeszkód, które życiu i działaniu Boga w nas mogłyby być przeciwne.

Że to nasze sakramentalne łączenie się z Bogiem powinno być nietylko jednorazowe, ale możliwie częste i nawet codzienne, za tem przemawiają momenty psychologiczne. W pierwszym rzędzie wchodzi tu w grę zmienność nasza, której ulegamy w doczesności wszyscy. Mogłaby ta zmienność być objawem w życiu naszem dodatnim, gdybyśmy się zmieniali tylko na dobre, ale niestety, wiemy to z doświadczenia, że zmienność ta jest specyficznem znamieniem grzechu pierworodnego, a wyraża się pochylaniem się raczej do zła, aniżeli dźwiganiem się ku dobru. Jest ona poprostu jednym z objawów psucia się i rozpadania się wszystkiego, co stworzone, co doczesne. Na skutek obecnego sposobu bytowania na ziemi, w naszem złożeniu z duszy i z ciała, to psucie się ma dostęp także do naszego życia religijno-moralnego, i my, choćby nawet przy wysokiem wyrobieniu duchownem, nie jesteśmy wstanie w całości skutecznie się przeciwstawić psuciu się nawet Królestwa Bożego w nas, a to właśnie wobec wspomnianego faktu powszechnej i nieustannej zmienności, nietylko fizycznej, ale również duchowej i moralnej. W pomoc nam tu pospiesza sam Bóg i zabezpiecza nas przed wspomnianem psuciem i ocala w nas dobre, a czyni to nietylko wspomożeniem łaski Swojej, ale przez najrzeczywistsze złączenie się z nami, dostosowane do natury naszej, złożonej z ciała i duszy, przez oddanie się nam z Bóstwem i człowieczeństwem Swojem w Najświętszej Eucharystji.

Zmienność, o której mowa, zaznacza się w czasie nietylko w następstwie poszczególnych chwil czy godzin, ale znowu z do-

świadczenia wiadomo, uwydatnia się najwyraźniej w okresach następujących po sobie dni. Człowiek ulega w ciągu dnia pewnemu znużeniu, energja jego fizyczna i duchowa zużywa się w ciągu dnia, maleje i wyczerpuje się. Dlatego przywiązujemy tak wielką uwagę do tego, by po pewnem zużyciu się, po znużeniu, które dnia poprzedniego doszło może do zupełnej inercji, umieć dnia następnego znowu dobrze zacząć. I to dotyczy nietylko naszego życia fizycznego, ale również życia duchowego i moralnego. Umieć z Bogiem na nowo zacząć, to początek w życiu religijno-moralnem najlepszy i do tego dopomaga nam znowu najlepiej sakramentalna Komunja św.; pomaga nam więcej, niż postanowienie najlepsze i najstaranniejsze skupienia w sobie energji, gdyż przez godne, więc nabożne przyjęcie Komunji św. zabieramy się do dźwigania ciężaru dnia wespół z Bogiem, rozmieszczając niejako trud na siebie i na Boga. Łącznie ze wspomnianą zmiennością naszą i ze skupieniem się nowem do pracy i ofiary, okazuje się więc Komunja św. środkiem najskuteczniejszym do tego, by wysiłki dnia nowego nie pozostawały w dziedzinie pragnień zbożnych, ale by stawały się czemś realnem, skutecznem. Tak przedstawia się psychologiczne uzasadnienie praktyki częstej i codziennej Komunji św. Zrozumiejmy to więc, że Kościół św. zachęcając nas do niej, liczy się nietylko z pragnieniem P. Jezusa, ale uwzględnia równocześnie naszą naturę; ta, zmienności podległa, domaga się odnowienia, odnowienie jej zaś przez coraz to nowe łączenie się z Bogiem stanowi rzeczywiście postulat, któremu nie sposób zadośćuczynić w sposób inny.

Jeszcze jeden nadzwyczaj ważny argument przemawia za rozpowszechnianiem praktyki częstej i codziennej Komunji św. i powinien być uwzględniony. Żyjemy obecnie pod znakiem konsolidacji społecznej, mniejsza z tem, że częściej nieszczęśliwej niż skutecznej i trwałej; ważnem jest dlatego i w życiu religijnem, więc i w życiu kościelnem zwrócić na to uwagę. *Unum corpus sumus,* naucza Paweł św. i tłumaczy wyraźnie, że ta jedność wywodzi się z ożywienia nas wszystkich Ciałem Pańskiem: „Bo jednym chlebem, jednem ciałem nas wielu jesteśmy, wszyscy, którzy z jednego chleba uczestnikami jesteśmy“ (I Kor. 10, 17). Ta jedność jest idealniejszą i skuteczniejszą od jakichkolwiek związków i korporacyj świeckich, gdyż powoduje istotnie jednomyślność i wszystkich członków ciała tego

zobowiązuje względem siebie nawzajem, czyniąc ich odpowiedzialnymi względem głowy tego ciała, względem Chrystusa. Zważmy więc, że ze stanowiska socjalnego Komunja św. częsta jest wprost niezrównanym i jedynym w swoim rodzaju środkiem do ścisłego związania wszystkich w jedno społeczeństwo chrześcijańskie. Skoro zaś Komunja św. jest w sposób wybitny sakramentem społecznym, tedy powinna być przyjmowaną społecznie, t. zn. gromadnie, wspólnie, tedy powinna być uznaną jako konieczność nieodzowna, czego wyrazem będzie jej częstotliwość, więc częste i nawet codzienne jej przyjmowanie. Domaga się tego nietylko sama konsolidacja, której potrzebę odczuwamy wszyscy, ale głównie zdrowie społeczeństwa. Zauważono słusznie, że pojedyńcze osoby komunikujące są jakby sporadycznie zdrowymi w okolicy nawiedzonej cholerą czy zakaźną febrą. Nie wyjątki tedy powołane do zdrowia i do życia Bożego, lecz ogół; i temu ogółowi oddał się P. Jezus, oddaje się wciąż na nowo i chce być przezeń przyjęty, chce go Samym Sobą w jedno złączyć.

Mając na oku te pożytki społeczne z częstej Komunji św., dojdzie duszpasterz niechybnie do wniosku, że starania o rozpowszechnienie tej praktyki w jego parafji powinny wyprzedzić inne starania społeczne, gdyż wszystkie inne będą tylko konsekwencją należytego fundamentalnego związania i przedewszystkiem uświęcenia społecznego.

Mając to przekonanie z wiary o racji ustanowienia Naśw. Sakramentu, zdając sobie mianowicie sprawę z tego, że Eucharystja jest chlebem żywota, że od niej zależy utrzymanie w nas życia nadprzyrodzonego, usiłuje duszpasterz do częstego, a nawet codziennego pożywania tego chleba również wiernych przekonać i zachęcić. Abstrahuję w referacie obecnym od uwag ascetycznych o znaczeniu kultu Echarystji w życiu kapłana; poprzestaję tylko na przypomnieniu, że apostolstwo kultu Eucharystji jest w życiu kapłana zwyczajnie potwierdzeniem tego, że on sam jest również nietylko znajomym Jezusa-Hostji, ale także zaufanym Jego, oddanym Mu w służbie wiernej, zatroskanym o to, by intencje Boga Utajonego były przez wiernych rozumiane i z wdzięcznością uwielbione. Kapłan oddany apostolstwu częstej i codziennej Komunji zyskuje w tem apostolstwie potwierdzenie, że sam również dba przedewszystkiem o ten Chleb Żywota dla siebie, że wysoko go sobie ceni i przekłada go nad inne dobra; to też, dbając

o tych, którzy są pieczy jego oddani i obmyślając dla nich również szczęście pełne, podaje im to i do tego ich zachęca, co jest podstawą i ośrodkiem życia Bożego w nim samym. Osobiste nabożeństwo kapłana do Najśw. Eucharystji jest bezsprzecznie pierwszym i najskuteczniejszym środkiem duszpasterskim w apostolstwie kultu Eucharystji wogóle, a w szczególności w apostolstwie praktyki częstej Komunji św. Kapłan, który nie opuszcza Mszy św. dla błahych powodów, który przede Mszą św. i po Mszy św. jest odpowiednio skupiony, który zbliżając się do Ołtarza, korzysta z tego jako z łaski, nie poczytując sobie zaś tego za ciężar, który w razie choroby stara się również o to, by móc się pokrzepiać chlebem mocnych, taki kapłan mimowoli tem przywiązaniem do Najśw. Sakramentu narzuca się uwadze wiernych. Da im to do myślenia, dlaczego on do Komunji św. i wogóle do zbliżania się swego do Najśw. Sakramentu tak wielką przywiązuje uwagę i ten przykład jego już w wielu wypadkach zrobi swoje. Jest to tajemnicą przykładu, że za sobą skutecznie pociąga, gdyż *verba movent, exempla trahunt,* a ludzie istotnie stale raczej oczom wierzą, aniżeli uszom. Widząc więc gorliwe zabiegania duszpasterza o to, by Jezus-Hostja nie był w kościele uważany tylko za świętość w rodzaju relikwji najcenniejszej, ale by uczczony był jako Bóg żywy, jako źródło życia i świętości, wierni przybliżą się tem samem do tego Boga, pociągnięci przykładem swojego duszpasterza.

Z tym najpierwszym środkiem duszpasterstwa, mianowicie z dobrym przykładem duszpasterza, łączy się bezpośrednio drugi, mianowicie modlitwa o rozszerzenie praktyki częstej Komunji. Te dwa warunki, dobry przykład duszpasterza oraz modlitwa jego, tworzą właściwą dyspozycję i podstawę do apostolstwa praktyki częstej Komunji śród wiernych. Modlitwa i przykład jego są potwierdzeniem jego dobrej woli, jego przekonań i zapału, bez których o apostolstwie nie mogłaby być właściwie mowa, gdyż ono byłoby nieszczere i sztuczne.

Poza temi zasadniczemi warunkami apostolstwa częstej Komunji św. należy *in oboedientia* podjąć przedewszystkiem te środki, o których wspomina dekret *Sacra Tridentima.* Czytamy tam w punkcie szóstym: „...obowiązkiem jest proboszczów, spowiedników, kaznodziei, w myśl nauki zawartej w katechiźmie rzymskim

(cz. II, n. 60), często i usilnie zachęcać lud wierny do tego pobożnego i zbawiennego zwyczaju".

Na pierwszy plan wysuwa się tu jako środek duszpasterski ambona. Skoro praktyka częstej Komunji św. ma być rozpowszechnioną, tedy musi być apostolstwem tej praktyki ogół wiernych objęty, środkiem zaś do tego najodpowiedniejszym jest oczywiście kazanie. *Quomodo audient sine praedicante* (Rzym. 10, 4). Kazania eucharystyczne są koniecznością, a zarazem obowiązkiem, od którego się duszpasterz wymówić nie może. *Nihil volitum nisi cognitum;* chcąc wiernych do częstej Komunji św. zachęcić, trzeba ich o tem wpierw pouczyć. Zdając sobie sprawę z powagi tego środka duszpasterskiego, zarządził Pius X wydanie przez Kongregację Obrządków osobnej instrukcji, która podpisana została przez prefekta tej kongregacji, kardynała Cretoni, a skierowana do wszystkich biskupów katolickich. W myśl tej instrukcji powinny się we wszystkich kościołach katedralnych odbywać corocznie uroczyste tridua eucharystyczne, z wystawieniem Najśw. Sakramentu, z kazaniami i z generalną Komunją św. W kościołach zaś parafjalnych powinna się podobna uroczystość odbyć w niedzielę po oktawie Bożego Ciała, albo też w inną niedzielę roku. By wiernych do udziału w tych uroczystościach zachęcić, udzielił Ojciec św. na każdy z tych dni odpust 7 lat i 7 kwadragen, a prócz tego nadał odpust zupełny w dowolnym dniu triduum, który może uzyskać wierny, jeżeli przez wszystkie trzy dni brał udział w uroczystości, przyjął Sakrament Pokuty, Komunję św. i pomodlił się na intencję Ojca św., wreszcie odpust zupełny dla wszystkich, którzy po spowiedzi biorą udział w kościele katedralnym lub parafjalnym w Komunji generalnej i pomodlą się na intencję Ojca św.

Celem powyższej instrukcji jest przedewszystkiem stworzenie sposobności do głoszenia kazań eucharystycznych. Jeżeli kazania te mają być celowe, tedy należy tematy odpowiednie obrać i ściśle je przeprowadzić, ażeby wierni byli o częstej Komunji św. naprawdę pouczeni, do niej przekonani i zachęceni. Zdaniem mojem nie odpowiadają celowi temu kazania t. zw. proszone, głoszone przez gości, bez uprzedniego omówienia z nimi planu. Nie wiem, jak się to dzieje na wsi, ale po miastach panuje w tym względzie istny bałagan. Zaprasza się kilku kaznodzieji, a ci głoszą zwyczajnie tylko panegiryki ku czci Eucharystji, przyczem nie rzadko schodzą się ze sobą treścią kazania, nieraz nawet osnową i wy-

słowieniem, o ile korzystali przypadkowo z tychsamych gotowych wzorów kazaniowych.

Kazania dla podniesienia praktyki częstej Komunji św. powinny być pouczające, więc poprawne dogmatycznie, i celowo zdążać do pouczenia i zachęcenia wiernych do praktyki, o której mowa. Potrzeba sobie wobec tego ułożyć plan zarówno dla wszystkich nauk, ustalając mianowicie następstwo tematów po sobie, jakoteż oczywiście plan czyli dyspozycje dla każdej nauki osobno. Wyobrażam sobie, że w planie tym znajdą uwzględnienie następujące tematy:

Dzień I. Kazanie I. Nauka P. Jezusa o Najśw. Sakramencie, osnuta głównie na obietnicy ustanowienia tego Sakramentu (Jan 6).
Kazanie II. Potrójny cel ustanowienia Eucharystji, więc utrwalenie ofiary krzyżowej, pokarm dusz i mieszkanie P. Jezusa z nami.

Dzień II. Kazanie I. Znaczenie Komunji św. dla naszego życia duchownego wogóle, z podkreśleniem potrzeby wspomożenia Bożego dla naszej wiary, dla podniesienia obyczajności i dla poświęcenia życia społecznego
Kazanie II. Ewangelja Eucharystji, czyli Jezus-Hostja przedstawiony jako wzór doskonałości.

Dzień III. Kazanie I. Warunki potrzebne do godnego przyjęcia Komunji św.
Kazanie II. O częstej Komunji św. celem utrwalenia w sobie szczęścia, jakiem darzy łączenie się z Bogiem lub w przedstawieniu jej jako środka postępu duchownego, a także w poleceniu jej jako znakomitego wyrazu wdzięczności dla P. Boga. Przytem należałoby to z dużym naciskiem podkreślić, że P. Jezus przyszedł dla zbawienia wszystkich, a obecnie także wszystkich do siebie zaprasza i woła, że zatem praktyka częstej Komunji św. dotyczy również wszystkich.

Literatury do kazań tego rodzaju nie podaję osobno, gdyż znajdziemy szereg rzeczy dobrych o tym przedmiocie poleconych w liście pasterskim ś. p. X. Arcybiskupa Bilczewskiego o częstej i codziennej Komunji św., a ponadto kilka nowszych rzeczy, np. podręcznik O. Warola i i. podadzą nam półki księgarskie.

Praktykę Komunji św. codziennej należy uważać za ideał, do którego wciąż zdążać mamy, choć zgóry sobie powiedzieć musimy, że do ideału tego nie pociągniemy wszystkich. Powrót bowiem do praktyki pierwszych chrześcijan, u których ideał ten był urzeczywistniony, powrót ten może się odbywać tylko stopniowo, a nie nastąpi raptownie. Chodzi narazie o to, by do Komunji św. wogóle zbliżyć tych, którzy do niej wcale nie przystępują, zaś częstotliwość podnieść tam, gdzie to możliwe. Dlatego trzeba nietylko o częstej Komunji św. mówić, ale także podkreślać obowiązek przyjęcia jej przynajmniej raz w roku; do tego nadarza się sposobność w okresie wielkanocnym, zwłaszcza czwarta niedziela postu, przy omówieniu perykopy o cudownem rozmnożeniu chleba. Sposobność do omówienia warunków częstej Komunji, przygotowania do Komunji św. i dziękczynienia po niej, owoców Komunji św. i t. d. znajdzie kapłan często w przemówieniach przy Komunji generalnej, które to przemówienia powinny być również celowe i planowe, a nie *de communi*. Prócz tego nadają się do tego rodzaju tematów także kazania i nauczki czerwcowe. Do kazań eucharystycznych znajdzie duszpasterz wogóle poza triduum oficjalnem jeszcze nieraz sposobność. Nie powinien tych okazji pomijać, lecz owszem starać się do tego tematu nieraz w roku powrócić.

Do praktyki częstej Komunji św. odnosi się wielu z uprzedzeniem i dlatego trzeba również uprzedzenia te w kazaniu obalać i usuwać jako przeszkody zdaje się najpoważniejsze. O obowiązku tym wspomina już Papież Leon XIII w encyklice o Najśw. Eucharystji: *Itaque praeiudicatae adversantium opiniones, inanes multorum timores, speciosae abstinendi causae penitus tollendae.*

Szczególnie wdzięczna sposobność do mówienia o częstej Komunji św. nadarza się podczas rekolekcyj i misyj. Wierni są wtenczas lepiej usposobieni i skorzy do podjęcia środków poleconych im na zachowanie się od grzechu ciężkiego i do postępu duchownego. Wiadomo, że rekolekcje i misje z reguły się udają, tylko trudniej o utrwalenie ich owocu. Podjęcie względnie wznowienie praktyki częstej Komunji św. może tu być bardzo pomocnem, należy jednak wiernych o tem w osobnem kazaniu pouczyć, by praktykę tę, jako sprawę pierwszej wagi, wrazić głęboko w ich przekonania i serca.

Słusznie zauważa jeden z autorów, że zachętą do Komunji św. powinny się z zasady kończyć nasze nauki niedzielne, i tak: „Jesteśmy obowiązani zachować przykazania Boże; siłę do tego udziela Komunja św. Mamy unikać grzechu, jako największego zła na świecie; najlepsze zabezpieczenie przed grzechem znajdujemy w Komunji św. Nie jesteśmy stworzeni dla ziemi, lecz dla nieba; zadatek nieba i przedsmak szczęścia wiekuistego posiadamy w Komunji św. Doskonałość polega na upodobnieniu się do Chrystusa, na przyjęciu i naśladowaniu życia jego; najlepszym środkiem zaś do tego, by oblec Chrystusa, jest Komunja św. i t. d.“ (J. Hättenschwiller S. J. Die seelsorgliche Bedeutung u. Behandlung des Kommunion-Dekretes, Innsbruck, Rauch str. 34). Nie znaczy to oczywiście, że każde kazanie powinno się kończyć wezwaniem do Komunji świętej; byłoby to niewłaściwe, gdyż wytwarzałoby banalny szablon. Należy to raczej w ten sposób rozumieć, że niema prawie tematu kazaniowego, któryby obcy był temu przedmiotowi. Dlatego tematy zgoła nieeucharystyczne, jak nauka o grzechu śmiertelnym i powszednim, nauka o Kościele jako mistycznem ciele P. J. oraz o Kościele jako o domu Bożym, nauka o łasce, o odpustach, o miłości Bożej ku nam, o modlitwie, o wspomożeniu dusz czyścowych, o doskonałości chrześcijańskiej wogóle i w szczegółach i wiele innych, dadzą się złączyć bodaj z krótką i dosadną wzmianką o Komunji św.

Następnym środkiem apostolstwa częstej Komunji św. jest spowiedź. Wiernym należy spowiedź przedewszystkiem ułatwić. W tym celu trzeba im nietylko z ambony, ale także na czarnej tablicy ogłosić, kiedy zastaną spowiednika w konfesjonale, a godzin zapowiedzianych należy też pilnie przestrzegać. Oczywiście będą godziny słuchania spowiedzi tak obrane i ułożone, by nie stanowiły dla wiernych kolizji w spełnianiu obowiązków zwyczajnych. Najbardziej nadają się do tego godziny poranne i wieczorne, wieczorne zwłaszcza w soboty i w wigilje świąt, popołudniu zaś przed świętami dla młodzieży. W miejscowościach, w których jest tylko jeden kapłan, należy od czasu do czasu do słuchania spowiedzi zaprosić kapłana z sąsiedztwa, ewentualnie jakiegoś kapłana zakonnego, by tym sposobem ułatwić spowiedź tym, którzy z jakichkolwiek powodów nie chcą czy nie mogą spowiadać się przed duszpasterzem własnym. W takim razie należy jednak wiernym wcześniej ogłosić, że będą mogli korzystać ze spowiedzi u kapłana

obcego. Bez pilnego przesiadywania w konfesjonale nie zdadzą się na nic nawoływania do Stołu Pańskiego, choćby najczęstsze i najżarliwsze.

Spowiednik powinien do częstej Komunji św. zachęcać, nie ogólnie wszakże, lecz wyznaczając wiernym wprost sposobności do Komunji św. W admonicji do penitentów zwróci uwagę na pożytki częstej Komunji św., a usiłuje tam również pozyskać sobie pionierów w tej praktyce i zachęcić ich do apostolstwa względem innych.

Spowiedź nadaje się również do objaśnienia wiernym lub przypomnienia im warunków częstej Komunji św. Stanu łaski dowodzi dobrze odprawiona spowiedź, zaś co do dobrej intencji nie trzeba się osobno upewniać, lecz przypuszcza się zgóry istnienie jej, chybaby się miało pozytywne dowody na brak dobrej intencji. Z brakiem dobrej intencji spotka się spowiednik w przypadkach tylko wyjątkowych, wtedy nie zabroni odrazu Komunji św., lecz usiłuje intencję dobrą u penitentów wzbudzić. Należy jednak i o tem pamiętać, że niejednokrotnie u nich do czystej intencji przystępuje jakiś wzgląd ludzki *(facile enim cum intentione substantialiter pura miscetur aliquid humanum)*. W takich razach injekcja ta nie obala intencji dobrej, chyba wtedy, gdyby stanowiła główny motyw przyjęcia Komunji św. (np. chęć odznaczenia się przed ludzmi, korzyść doczesna w postaci nagrody i t. p.).

Pamiętać dalej należy, zwłaszcza wobec osób pobożnych, że nie jest rzeczą spowiednika zezwalać na częstą Komunję św., gdyż ona zależy od stanu duszy penitenta, tylko orzekać, czy w danym stanie duszy penitent komunikować może. Wskazanem jest dlatego zamiast upomnień ogólnych, by penitent tego lub owego się wystrzegał, podawać mu w poleceniu częstej lub częstszej niż dotąd Komunji św. sposób na postąpienie w dobrem, na umocnieniu się do walki z pokorą, na ustrzeżeniu się od grzechu ciężkiego i powszedniego, na ujarzmieniu złych skłonności i t. d. Pod żadnym warunkiem nie godzi się jednak polecać częstej Komunji św. za pokutę za grzechy, gdyż pokuta jest karą, zaś Komunja św., choć nie stanowi nagrody cnoty, jest jednak bezsprzecznie szczęściem duszy. Nie wolno też częstej Komunji św. nakazywać, gdyż praktyka ta nie należy do obowiązków, a jest tylko zbawienną radą, choć zbawienną, ale zawsze tylko radą.

Zarówno z ambony, jakoteż w konfesjonale, pouczy kapłan wiernych o istocie grzechu powszedniego, oraz o tem, że spowiedź nie jest jedynym środkiem do zgładzenia grzechu powszedniego. Grzech powszedni nie jest zresztą przeszkodą do częstej Komunji św., przeciwnie, właśnie chęć pozbycia się grzechów powszednich powinna do częstej Komunji św. przynaglać. Należałoby wiernych również i o tem pouczyć, że nie ma żadnego przypisu, że przyjmowanie Komunji św. często ma się odbywać dzień po dniu bez przerwy; przerwa, uzasadniona zwłaszcza obowiązkami stanu czy inną racją poważną, nie staje na przeszkodzie przyjęciu Komunji św. bez uprzedniej spowiedzi po przerwie, o ile nie brak komunikującemu zasadniczych warunków przyjęcia Sakramentów, t. j. stanu łaski i dobrej intencji.

Podobnie, jak z ambony, tak też w konfesjonale należy zwrócić uwagę na uprzedzenia przeciwko częstej Komunji św. Gdy zaś mowa o tych uprzedzeniach, należy to mieć na uwadze, że nie są to najczęściej uprzedzenia najgorszego gatunku, wyrażające się zlekceważeniem tego Sakramentu i obojętnością w tym względzie, lecz raczej uprzedzenia płynące z przesadnej bojaźni, by nie znieważyć Najśw. Eucharystji nie dość dobrem usposobieniem. Na ten rodzaj uprzedzeń należy zwrócić szczególną uwagę, bo właśnie one spowodowały zaniedbanie praktyki częstej Komunji św. i one są w dziennikach Stolicy Apostolskiej napiętnowane mianem jadu Janzenizmu.

Prócz ambony i spowiedzi rozporządza duszpasterz jeszcze innemi środkami, któremi mógłby wiernych do częstej Komunji św. zachęcić. Wspomnę tu o niektórych.

Wychodząc z założenia, że Komunja św. jest zarówno objektywnie jakoteż subjektywnie najlepszem nabożeństwem, należy wszystkie uroczystości kościelne łączyć z Komunją generalną. Wtenczas znaczenie tych uroczystości się podniesie, gdyż przez Komunję św. udzieli się wiernym nietylko nastrój uroczysty, ale oni niejako przebóstwieni, z większym pożytkiem uczestniczyć będą w rozpamiętywaniu tajemnic świąt.

Nadzwyczaj skutecznym środkiem w apostolstwie częstej Komunji św. okazuje się nabożeństwo do Najśw. Serca Pana Jezusa, zwłaszcza uroczyste obchodzenie pierwszych piątków miesiąca. Pomijając fakt, że Komunja św. jest najlepszem uczczeniem Serca P. Jezusa, warto przypomnieć, że regularne obchodzeni

pierwszych piątków miesiąca zaznaczy się w życiu wiernych nader błogosławionym zwyczajem, który, gdy się mu przez czas jakiś folguje, staje się potrzebą duszy i do którego wierni nawykają, jakby dla porządku.

Ożywienie bractw kościelnych zyskałoby również wiele przez złączenie zebrań tygodniowych, ewentualnie miesięcznych, z Komunją św.

Wiemy dalej z doświadczenia, że wierni idą chętnie za wezwaniem duszpasterza, gdy doznają od niego serca. W praktyce duszpasterskiej nadarza się do tego często sposobność, zwłaszcza przy wypadkach śmierci w parafji. Gdy przy tej okazji czy to przed pogrzebem czy po pogrzebie duszpasterz zbliży się do pozostałych ze współczuciem i z pocieszeniem, łatwo mu będzie skłonić ich przy tej sposobności do Komunji św., może zrazu na intencję dusz zmarłych, później dla skutecznego pocieszenia ich, aż wreszcie do ustawienia ich życia na stałe na ścisłej łączności z Jezusem Bogiem. Środek ten okazuje się skutecznym zwłaszcza w miastach, gdyż żałoba po zmarłych powstrzymuje od zwyczajnych uciech światowych, sposobi ich wskutek tego tem więcej do oddania się życiu zbożnemu.

Na rodziców wywiera wrażenie dzień pierwszej Komunji dzieci. Przy tej okazji można z łatwością rodziców i krewnych dzieci do tego zachęcić, by razem z dziećmi przystąpili do Komunji św. Gdy się to raz uda, wtedy łatwiej ociąganie się od Stołu Pańskiego przełamać. Wogóle do starszych łatwiej trafiać przez dzieci; liczyć się z tem trzeba i wyzyskać to również dla praktyki częstej Komunji św.

Również wtedy, gdy wierni proszą o odprawienie Mszy św. na ich intencję, można ich zachęcić, by podczas tej Mszy św. przystąpili do Komunji św. Jeśli już na Mszę św. dają, to snać, że na czemś im bardzo zależy; trzeba ich przekonać, że modlitwa będzie skuteczniejszą, gdy z ofiarą kapłana złączy się przyjęcie przez nich Komunji św.

Wierni są łakomi na odpusty; można i ten szczegół wyzyskać i pouczyć ich, w jak wielkich skarbach odpustów uczestniczą komunikujący często, w odpustach bądź to do praktyki częstej Komunji św. przywiązanych, bądź też wogóle do odpustów, do których uzyskania trzeba być w stanie łaski. Skoro zaś w stanie łaski kto jest, a dobrej intencji mu niebrak, gdyż *nemo praesumitur*

malus, nisi probetur, tedy niema przeszkody do złączenia z Panem Jezusem w sposób sakramentalny.

W wielu wypadkach wystarczy Komunję św. przypomnieć, by do niej zachęcić. Pomoc w tym względzie oddają odpowiednie ulotki albo też pisemka popularne. Jest dlatego rzeczą bardzo wskazaną zwrócić uwagę na jedyne polskie czasopisemko eucharystyczne, mianowicie „Głos Eucharystyczny“, zaprenumerować je w większej ilości i podawać wiernym, oczywiście za opłatą, ewentualnie przy pomocy członków bractw kościelnych, np. przed pierwszym piątkiem miesiąca lub przed niedzielą, poświęconą adoracji Najśw. Sakramentu.

Wierni nie powinni w przyjmowaniu Komunji św. doznawać żadnej przeszkody z winy duszpasterza i żadnego utrudnienia. Dlatego należy Komunję św. ułatwiać także pod względem technicznym, udzielać jej często, nie kazać wiernym czekać godzinami, nie niecierpliwić się z powodu tego, że posługi tej trzeba udzielać częściej, gdyż *Sakramenta propter homines,* nie zaś *homines propter Sacramenta,* — ale natomiast *sacerdotes propter Sacramenta.* Komunja św. powinna być dlatego możliwie wcześnie udzielaną i możliwie często, w mieście ewentualnie co pół godziny, przede Mszą, w czasie Mszy św. i po Mszy św. Jak serdecznie wyraża to ś. p. X. Arcybiskup Bilczewski w instrukcji do dekretu *Sacra Tridentina:* „Wchodźmy — tak pisze — troskliwie w stosunki dusz, które garną się do Stołu Pańskiego, w rozkład ich zajęć i czasu, w warunki ich pracy i przestrzegajmy zawsze w rozdawnictwie Chleba Bożego punktualności i uprzejmej gotowości. Gdy nam ciężko — przypomnijmy sobie, że ciężką, wielką, coraz bardziej wytężającą i często ponad siły jest dziś praca także niemal wszystkich, powierzonych naszej opiece dusz, które uczciwą drogą przejść chcą przez życie“.

Praktyka częstej Komunji, która była zaniedbaną przez szereg stuleci, nie da się wznowić raptownie. Społeczeństwo wielomiljonowe jest zbyt ciężkiem ciałem, ażeby niem można pokierować jednem skinieniem. Prócz tego wchodzi tu w rachubę usposobienie względem tej praktyki uporne, podtrzymywane mnóstwem uprzedzeń. Mimo to pamiętać należy, że nawet względnie idealne przeprowadzenie tej praktyki nie jest niemożliwością. Z tem też optymistycznem usposobieniem zabiera się duszpasterz do apostolstwa tej praktyki i apostolstwu temu oddany będzie w cierpliwości

Bezpośrednio zdążać będzie do tego, by praktyka częstej Komunji św. była żywszą niż dotąd i zrazu pójdą starania jego w tym kierunku, by jednych do Komunji św. wogóle przyprowadzić, choćby raz do roku, innych przy okazji głównych świąt, ewentualnie kwartalnie, innych miesięcznie i t. d. Choć wobec tego postanowienia Kościoła w tym względzie nie będą odrazu idealnie przeprowadzone, mimo to nie będzie to modyfikacja samowolna postanowień Kościoła, ale jedynie stopniowe dźwiganie się do stanu idealnego i powolne ale stałe i wytrwałe zbliżanie się do ideału. *Gutta cavat lapidem saepe cadendo.* Pod wpływem dobrego przykładu duszpasterza i modlitwy jego, dalej wytrwałej zachęty z ambony i w konfesjonale, dalej na skutek prywatnego, indywidualnego apostolstwa w tej sprawie, ostatecznie wysiłki duszpasterskie w tym względzie muszą się okazać zwycięskiemi, głównie dlatego, że miłość będzie ich źródłem, miłość ich bodźcem i miłość również celem. Miłość zaś jest najlepszym budowniczym i najsilniejszem spojeniem i ona to poręcza wysiłkom zbożnym skutek niezawodny.

Apostolstwo częstej Komunji św., wznowione przez Papieża Piusa X., jest dziełem wielkiem, które domaga się też wielkiego wysiłku. Nazwano je słusznie krucjatą eucharystyczną, więc z hasłem krzyżowców „Bóg tego chce“ zabrać się doń mamy i oddawać się jemu coraz to na nowo, w wytrwałem posługiwaniu woli Bożej względem nas i życia Bożego, które ma być życiem naszem. Kończę słowami Leona XIII o tym przedmiocie: *Ea enim agitur res, qua nihil fideli populo utilius.*

Lwów *Ks. dr. Stanisław Żukowski.*

O samobójstwach młodzieży szkolnej.

Każdego niemal dnia dzienniki w działach: *Kronika, Chwila bieżąca, Z dnia na dzień* i t. p. pomieszczają wiadomości o licznych samobójstwach z rozmaitych warstw społecznych.

W tym licznym ponurym szeregu stanowią osobny dział samobójstwa, jakich dopuszcza się młodzież szkolna wszystkich trzech szczebli szkolnictwa: powszechnego, średniego i wyższego. Nas księży, osobliwie księży prefektów-katechetów, urzędowych wychowawców powierzonej nam młodzieży, przedewszystkiem te samobójstwa obchodzą i za nie do pewnego stopnia jesteśmy w sumieniu przed Bogiem i przed ludźmi odpowie-

dzialni. W każdym razie, gdy podobny smutny wypadek się zdarzy, mimowoli zwracają się oczy czy myśli z niemem, a nieraz i wyraźnem zapytaniem: „Jak wy księża uczycie i wychowujecie młodzież, naszych synów i nasze córki, skoro oni tak często targają się na swoje życie? Gdzież ten dobroczynny rzekomo wpływ religijnego wychowania? Czyż religja przestała już być ostoją życiową, co broni ludzi w chwilach ciężkich i przykrych i bolesnych?“

Sądzę, że ten niechrześcijański objaw, że to po pogańsku pojmowane załatwianie się z życiem czasu pokusy, powinny nas skłonić do głębokiego zastanowienia się i zachęcić do przeciwdziałania złemu. W tej myśli pragnę tę bolesną rzecz tu poruszyć i do wymiany zbawiennych myśli i rad dać początek.

Że samobójstwa czy zamachy samobójcze wśród młodzieży za często się zdarzają, wystarczy przytoczyć smutne zestawienie dla wstrząsającego przykładu. Powołuję się w tym względzie na znakomitą rozprawę w *„Przeglądzie Pedagogicznym“* z r. 1928 Nr. 20 pod napisem: *Tragedje szkolne.* Tak ona prawi:

„Od dłuższego czasu zbieramy fakty. Oto ich suche zestawienie za okres paromiesięczny r. 1928:

Styczeń. — W R. truje się 17-letnia uczenica; powodem złe stopnie, a raczej — jak się potem okazało — rozbicie rodziny. W Ł. zabija się uczeń 7 kl. gimn. W S. topi się uczenica 3 kl. szkoły wydziałowej zagrożona karą za sfałszowanie stopni.

Luty. — W L. 17-letni uczeń strzela się prawdopodobnie z powodu rozstroju nerwowego. W Z. pod Ł. zabija się uczeń 8 kl., „powodem złe stopnie w nauce“. W Ś. uczeń 7 kl. gimn., nie zdawszy egzaminu, strzela trzykrotnie do profesora, rani go i zabija sam siebie.

Marzec. — W W. 12-letni uczeń II kl. (!!) z powodu złych stopni rzuca się z mostu kolejowego i ciężko kaleczy. 15-letni uczeń gimn. rosyjskiego, usunięty ze szkoły z powodu złych stopni, truje się. W L. uczeń kursów maturalnych wiesza się „z obawy przed odpowiedzialnością sądową za ukradzenie większej kwoty pieniędzy swemu opiekunowi“. W P. uczeń 5 kl. gimn. policzkuje profesora i, zagrożony wydaleniem rzuca się pod pociąg. Następują demonstracje młodzieży. W tymże miesiącu inne fakty: Proces przeciwko uczniowi szkoły rzemieślniczej w B., który w r. ub. zastrzelił na ulicy swą nauczycielkę,

a siebie ranił. W Ś. uczeń przed jakąś wyprawą przypadkowo zabija kolegę. W S. uczeń przypadkowo zabija się, operując rewolwerem swego ojca.

W kwietniu — 4 zamaskowanych uczniów wpada do dyrektora gimn. ukraińskiego, spłoszeni, ranią woźnego.

Maj — w gimn. ukraińskiem w P. maturzysta nie zdawszy zabija się z rewolweru. W T. uczniowie Seminarjum strzelają z karabinu do nauczyciela.

Wypadki samobójstw z nowszych czasów niestety nie osłabiają tego smutnego zestawienia. Na początku wakacyj b. r. dwie uczenice pr. Seminarjum naucz. w P. nie otrzymawszy promocji do klasy następnej, położyły się na torze kolejowym pod Ż. i zostały straszliwie przejechane.

Słowem jest to obraz pełen grozy i przerażenia!

Gdzież należy szukać przyczyn tych tragicznych wydarzeń? Gdzie lęgnie się zło? Sprawiedliwej odpowiedzi na to pytanie trzeba szukać nie w jednem źródle. Leży ono w samej młodzieży, jej otoczeniu, w szkole i poza szkołą.

Rozważmy je za porządkiem.

Powodu samobójstw szukać należy w samej młodzieży. Jest przedewszystkiem rzeczą stwierdzoną zestawieniem, że wypadki samobójcze zdarzają się najczęściej w dwóch ostatnich latach nauk szkolnych. Jest to wiek u młodzieży, w którym myśli o samobójstwie w najrozmaitszych odmianach często napastują młodociane dusze. Potrzeba dopiero różnych czynników o podkładzie religijnym, samozachowawczym, narodowym, społecznym, by te napastliwe myśli spłoszyć i im nie ulec. Jeżeli więc braknie której z wyliczonej szlachetnych zapór i podniet, wystarczy jakieś nawet niewielkie niepowodzenie chwilowe, a skończyć się może smutnie, tragicznie.

A że niestety dużo się składa przyczyn, które osłabiają hamulce podtrzymujące młode serca, stąd liczne niestety wypadki samobójstw ze skutkiem czy bodaj zamachów samobójczych.

Otoczenie, w jakiem żyje młodzież, też często ponosi winę za jej przedwczesne samowolne zgony. Weźmy pod rozwagę najbliższą rodzinę kantydata (tki) na samobójcę (czynię). Jeśli chłopiec czy dziewczyna naczytają się powieści kryminalnych, gdzie roi się od zabójstw, morderstw, samobójstw w zmyślonych a może i podpatrzonych z życia ciężkich położeniach, jeśli

takich powieści dostarczają im właśni rodzice, jeśli w rodzinach mają przykłady samobójstw, jeśli słyszą z ust rodziców słowa rozgoryczenia życiowego i zniechęcenia, wprost pogróżki o samobójstwie, lekceważenia sobie życia, powątpiewania o odpowiedzialności pozagrobowej, pochwały lub uniewinnienia samobójstw, — to trudno się dziwić, że młodzież dorastająca pod takiemi wpływami ujemnemi w razie jakichś trudności i zniechęcenia czy podrażnienia samowolnie przecina pasmo młodego życia.

Jeżeli do tych wpływów zabójczych dodamy takie wypadki, że rodzice odgrażają się synom lub córkom na wypadek złego świadectwa, że ich nie chcą znać, że ich do domu nie wpuszczą, że ich po twarzy biją nawet w obliczu nauczyciela podczas t. zw. wywiadówki, że się z nimi źle obchodzą, że się ich wyrzekają, to otoczenie podobne ponosi winę może największą za śmierć dzieci.

Weźmy teraz pod uwagę zkolei szkołę. Na nią to najczęściej wskazują pochopni sędziowie i oskarżyciele, jako na główną sprawczynię tragedyj szkolnych. Według ich przekonania winni są nauczyciele i szkoła.

Czy winni są nauczyciele? Trudno powiedzieć lecz i trudno zaprzeczyć jednem słowem. Są tacy nauczyciele, że podczas ich długoletniej nauczycielskiej pracy nie zaszedł ani raz wypadek jakiegoś zatargu między nim a młodzieżą i przeciwnie młodzież ich nietylko lubi, poważa, ale najmilsze o nich wspomnienia z sobą zabiera w dalsze życie. Są znów tacy nauczyciele, którzy ciągle niemal żyją na wojennej stopie z młodzieżą. Nietylko są przedmiotem strachu, często nienawiści, ale powiedzmy bez obsłonek, mogą popchnąć ją nad krawędź czarnej rozpaczy, która jest matką rozpaczy. Bo albo są w wymaganiach naukowych zbyt surowi, albo poniewierają jej cześć drwiąc sobie z niej nieraz w złym sposobie, są miłośnikami t. z. singlów, co młodzież najbardziej zniechęca do dalszej pracy, lubią młodzież wyłapywać, „palić“ ją przy ocenach. To są fakty, na szczęście nieliczne, ale trudno im stanowczo zaprzeczyć. Niema stąd innego wyjścia jak tylko takim panom czem rychlej za dalszą pracę nad młodzieżą podziękować.

Narówni z nauczycielami jest przedmiotem oskarżań i utyskiwań dzisiejsza szkoła zwłaszcza średnia. Uderzają na nią

z dwóch stron: Jedni zarzucają jej, że wypuszcza w świat nieuków, dając im świadectwo dojrzałości, a więc że za mało wymaga od młodzieży, z drugiej strony oskarżają ją o przemęczenie młodzieży materjałem naukowym, czyli, że znów wymaga za dużo, a skoro młodzież tym wymaganiom nie może podołać, zrozpaczona rzuca się w objęcia samobójczej śmierci.

Pierwszy zarzut, czyniony szkole co do rzekomej szczupłości w wymaganiach szkolnych, na szczęście nikomu jeszcze dotychczas nie podał do ręki narzędzia samobójczego.

Ale drugi? Drugi istnieje w mylnem zapatrywaniu niektórych przeczulonych rodziców i opiekunów. Stwierdzić to przedewszystkiem trzeba, że wymagania szkolne w porównaniu do wymagań przedwojennych są o wiele mniejsze. Wszystkie obrady różnych sfer zawodowo-nauczycielskich i rozporządzenia władz przełożonych idą w tym kierunku, by naukę dzisiejszą przy pomocy wypróbowanych dawnych metod i nowych zdobyczy pedagogiczno-dydaktycznych uprzystępnić i ułatwić bez szkody dla istotnego wykształcenia i ogólnego poziomu oświaty.

Toby jedynie szkole można zarzucić, że w razie stwierdzenia niedostatecznych postępów w nauce ucznia czy uczenicy nie przepuszcza do klas wyższych, czem u nich może spowodować czarne myśli sięgające nieraz zamiarów ucieczki przed wstydem czy karą wobec surowych rodziców. Szkoła w tym względzie jest jednak bezsilna, bo nie rozporządza innemi środkami, by ucznia niezdolnego a co gorzej leniwego, zmusić do nauki.

Podobnie trudne jest położenie szkoły z przyznawaniem dojrzałości. Od czasu do czasu dają się słyszeć głosy na pytanie: Czy maturę utrzymać, czy znieść? Dopóki jednak istnieje przepis o jej potrzebie, szkoła ma prawo wymagać od młodzieży potrzebnych wiadomości, by tę dojrzałość przyznać. W razie przeciwnym niepodobna jej przyznać, stąd źródło narzekań na szkołę. Przyznać każdemu — źle, bo się puszcza nieuków, odmówić świadectwa dojrzałości — źle, bo zachodzi obawa samobójstwa przepadłych przy maturze. Wypadałoby albo poznosić możność dawania dwójek, ale toby nas zaprowadziło do Ciemnogrodu, albo jednym uczniom przyznawać świadectwo ukończonych nauk szkolnych względnie klasy najwyższej, a lepiej umysłowo rozwiniętym przyznawać świadectwo dojrzałości dające im możność wstępu na wyższe nauki uniwersyteckie.

Ale z takiem ujęciem sprawy sprzecza się rzeczywistość, bo teraz nawet i do niższych urzędów, np. kolei, poczty, urzędu skarbowego wymagają świadectwa dojrzałości. Nie zostaje w obecnych stosunkach nic innego, jak żeby młodzież osobliwie klas najwyższych szczerze i nieobłudnie zabrała się zawczasu do nauki czyto rocznej czy maturalnej, a nie dopiero kiedy „kasztany kwitną“, a wówczas liczba przepadających przy egzaminach dojrzałości zmaleje do minimum, a w ten sposób i widoki na samobójcze zamachy z powodu złych not samorzutnie też zmaleją, jeśli nie całkowicie znikną jak jest np. w tych szkołach, gdzie nauki nie zbywają i nieleniwie się do niej przykładają.

Zostaje nam do omówienia czwarte źródło — czynniki i oddziaływanie na młodzież poza szkołą. To źródło bodaj czy nie jest najniebezpieczniejsze i najgorsze. Stosunki dzisiejsze podszyte wstrętnym materjalizmem nie dają naogół młodemu człowiekowi, stającemu życiowo na dróg rozstaju potrzebnych drogowskazów, przeciwnie spychają go często na lewo, nad przepaść, w której niestety nieraz szuka zatraty swego istnienia w razie jakichś niepowodzeń życiowych. Bardzo słusznie te stosunki ujmuje nieznany autor *Tragedyj szkolnych*, kiedy tak mówi:

„Ludzkość dzisiaj brodzi we krwi, brnie w niej coraz głębiej. Życie człowieka straciło jakąkolwiek wartość. Synowie mordują rodziców, ojcowie mordują żony i dzieci, zabija się mężów, żony, narzeczonych, narzeczone, kochanki, kochanków, zabija się przełożonych i pracodawców, przeciwników politycznych, zabija się ludzi z zemsty, z miłości, dla pieniędzy, dla samej żądzy krwi, dla zabawki. Współczesność tańczy jakąś piekielną sarabandę, której takt wybijają strzały rewolwerowe... Jest cały odłam prasy, prasy-zbrodniarki, która z rozkoszą pławi się we krwi, byle tylko sprzedać więcej egzemplarzy. A kino z jego sensacyjnemi dramatami, w których orgje kabaretowe, nory apaszów, „fascynujące“ morderstwa stanowią nieodłączne składniki. Wszystko to, współczesne życie, brukowa prasa-hiena, dramat kinowy, sączy truciznę w duszę młodą wtedy właśnie, kiedy ona najwrażliwsza, kiedy najczulszej potrzebuje ochrony.

To wyłącznie tłumaczy coraz częstsze pojawianie się zabój-

ców w uczniowskiej czapce, to również jest jednym z powodów i to niepoślednim epidemji samobójstw młodzieńczych"[1]).

Nie trzeba tu przeoczać, że stwierdzono wypadki, które wprost zachęcały niebaczną młodzież do kroków samobójczych czyto podniecając w niej zbytnią a niewczesną ciekawość, co też i jak też jest poza śmiercią, na drugim świecie, lub znowu budząc w niej jakąś myśl chorobliwą o niby bohaterstwie przez przecięcie pasma żywota lub wywołując w niej przesyt życiowy lub marność i bezcelowość popychania „taczek żywota".

Co robić, żeby złemu zaradzić a bodaj do minimum sprowadzić? Nie wystarczy obwiniać dzisiejszej szkoły, jak to czyni niesłusznie ks. Antoni Lorens w *Gazecie Kościelnej* z dnia 1-go września 1929 Nr. 35, str. 397-8[2]).

Według mego zdania należy poznać dokładnie młodzież, znać ją „mianowicie" jako zna dobry pasterz swe owieczki, utrzymywać z nią osobisty roztropny kontakt, pomagać w trudnem położeniu co do duszy i co do ciała, w razie niepomyślnego wyniku klasyfikacji zgrabnie uprzedzać w myśl zasady, że „tela praeisa minus feriunt"[3]), wykazywać szkodliwość złej lektury i kina, zaprowadzać przy czytelniach szkolnych oddziały książek o treści czysto religijnej, zająć się stale ich wypożyczaniem, przestrzegać przed wczesnem czytaniem gazet brukowych, zachęcać do pracy, do gorliwych rozrywek, oddziaływać na rodziców i otoczenie przez związki rodzicielskie i omawianie na nich spraw szkolnych, starać się wytworzyć w gronie nauczycielskiem harmonijne współdziałanie w wychowaniu młodzieży, nie zaniedbywać przy odnośnych naukach religijnych wpajać w młode umysły i serca wielką wartość życia, że człowiek nie ma prawa samowolnie sobie życia odbierać, że w przyrodzie nie zdarzają się wypadki samobójstw, wyrobić przekonanie, że różne przeciwności i przykrości są nierozłączne z życiem ludzkiem, że one

[1]) Dzieło przytoczone str. 482.

[2]) Psychoza samobójstw wśród młodzieży na tle egzaminu dojrzałości. Gdzie leży przyczyna zła i jak stosunki naprawić? Według niego panuje „na polu szkolnictwa zamęt pojęć", co ma się mścić na młodzieży. Oskarża, że „dzisiejsza pedagogika najmniej uwzględnia zasady religji i w tem właśnie tkwi jei grzech pierworodny", że wreszczcie „w wielu szkołach dzisiejszych świadomie czy nieświadomie czyni się wszystko, by wpływ religji na młodzież zredukować do minimum". Jestto przesada.

[3]) Niemcewicz: Pieśń studencka.

mają znaczenie wychowawcze, że nie należy im ulegać, że owszem trzeba im mężnie stawić czoło, że niemądry, kto wśród drogi z przestrachu traci męstwo, im sroższe ciernie, głogi, tem milsze jest zwycięstwo[1]).

Dla ciekawości nie zawadzi wiedzieć o bardzo mądrym kroku Zarządu Głównego Stowarzyszenia Dyrektorów Polskich Szkół Średnich państwowych. Złożyli oni w maju b. r. p. ministrowi W. R. i O. P. pismo, w którem domagają się tak:

„Ponieważ w okresie końca roku szkolnego i egzaminów maturalnych zdarzają się często wypadki samobójstw wśród młodzieży szkolnej, a bardzo różnorodne, często zupełnie niewłaściwe omawianie podobnych wypadków w prasie tylko sprzyja rozwojowi tych anormalnych, chorobliwych objawów i może nawet wywoływać wśród młodzieży rodzaj psychozy, Stowarzyszenie Dyrektorów uprasza Pana Ministra, aby za przykładem władz węgierskich spowodował odnośne zarządzenie, zezwalając na omawianie samobójstw młodzieży tylko w czasopismach naukowych, pedagogicznych, lekarskich, a wzbraniające poruszanie tych wypadków w prasie codziennej“[1]).

Tych słów kilka kończę słowami M. Konopnickiej o wesołości życia: „Hej życie! jeszcześ ty nie było takiem twardem nikomu, by człek się nie cieszył, kiedy mu wracasz! I choćbyś ty ptakiem upadło, co mu strzelec piersi przeszył, choćbyś więc krwawym toczyło się szlakiem, choćby się człowiek do śmierci sam śpieszył, kiedy poczuje, żeś mu danem, łzami cię wita i zgiętem kolanem“[2]).

Przemyśl. *Ks. dr. Tomasz Wąsik.*

RECENZJE.[3])

Wł. Bogatkiewicz: **Synchronistyczne zestawienie dziejów powsz. Cz. I. „Historja starożytna“** (Wschód, Grecja i Rzym). Chronologja — ustrój — kultura. Warszawa, 1927, 4°, str. 46. **Skł. gł.: w Warszawie, Żórawia 16-7.** Cena 3·— zł.

Dzieło pod tyt. „Synchronistyczne zestawienie dziejów powszechnych. Cz. 1. Historja starożytna“

---

[1]) Przegląd pedagogiczny r. 1928 nr. 18, str. 434.

[2]) Pan Balcer w Brazylji, str. 350.

[3]) Z powodów technicznych recenzje umieszczone w tym numerze nie przeszły przez aprobatę redaktora krakowskiego.

prof. Wł. Bogatkiewicza, które *cechuje oryginalność* w swoim rodzaju, *zasługuje na wielkie uznanie i poparcie.* Przez syntetyczne ujęcie faktów polityczno-społecznych i naukowych, a przedewszystkiem przez *specjalne uwzględnienie czynników religijnych*, artystycznych i etycznych autor zobrazował *w przejrzysty* sposób dzieje starożytne. *Wydanie staranne*, druk chociaż drobny, ale czytelny.

Warszawa. *Ks. dr. Walenty Lubański.*

Dr. Jan Jakóbiec: **Podstawowe wskazania dydaktyczne.** Kraków 1928. Gebethner i Wolff. Str. 39 w 16°.

Dla użytku nauczycieli zebrał autor podstawowe z logiki i psychologji wynikające prawidła nauczania. Są to naprawdę podstawowe, elementarne wskazania, których znajomość jest bezwzględnie potrzebną nauczycielowi. We wstępie omawia autor znakomicie psychikę młodzieży, potem omawia szkołę pracy i dydaktykę, obszernie stare i nowe metody i formy oraz technikę nauczania.

Dla ks. prefektów książeczka dr. Jakóbca oddać może duże usługi. Jest niestety pewien procent między nami nieuświadomionych w dziedzinie dydaktyki, uczących jakąś przedpotopową, albo zgoła żadną metodą. Ot, co pomysł na język przyniesie. Nauczycieli świeckich wizytuje dyrektor czy inspektor, o nas mało kto troszczy — cierpi na tem powaga nauki religji, gdy uczeń porówna porządnie i systematycznie przeprowadzoną lekcję matematyki czy języka polskiego, z jakąś bezładną nieraz „metodą“ na naszej godzinie.

Co do szczegółów: Nie zgadzam się z autorem, jakoby nie było konieczne wstawanie uczniów przy odpowiedziach (str. 31); tak już mało karności i dyscypliny w szkole; nie obniżajmy doreszty powagi profesora. Na str. 32 autor nie uwzględnia tej okoliczności, że uczniowi pytanemu z ławki podpowiadają wszyscy sąsiedzi. — Forma zewnętrzna książeczki korzystna; druk wyraźny. *Th.*

Leon Halban: **Społeczne ideały chrześcijaństwa w pierwszych wiekach.** Str. 153. Nakł. Księgarni św. Wojciecha. Poznań.

Autor przedstawia zmagania się dwóch światopoglądów: pogańskiego, którego wyrazicielem był Rzym, oraz chrześcijańskiego.

Niższość i słabość pierwszego jest dostatecznie znana i nieraz służyła do rozwinięcia efektownych obrazów barwnym odmalowanych pendzlem, jak niedawno w dziełach G. Ferrera. Mniej znany jest całokształt ideałów społecznych chrześcijańskich, a to z niedostatku źródeł. Mimo szczupłości tworzywa, autor podjął się rozpierzchłe fragmenty myśli starochrześcijańskiej powiązać w jedną misterną budowę. Te ideały żłobiące nowy nurt życia obywatelskiego w łożysku pysznego pogaństwa, budzą podziw śmiałością i konsekwencją, wzniosłością i prostotą. Można powiedzieć, że cisi męczennicy, konając na krzyżu, kładąc szyje pod miecz, a ciało

wydając na pastwę żywiołu, jednocześnie niewidzialną mocą tratowali cały ustrój starego świata. Ich śmierć stała się podwaliną teraźniejszej wolności indywidualnej, ich groby piętrzące się w podziemiach, stały się symbolem hierarchji duchowej, na której oparło się średniowiecze, a naostatek ich wiara, do dziś dnia podtrzymuje ludzkość osłabłą w zaduchu sceptycyzmu i zatrutą materjalizmem, odnoszącym przewagi w polityce, w nauce i gospodarstwie społecznem.

Mimo czasów odległych ideały naszych przodków po mieczu ducha są aktualne, dziś bowiem, zaznacza autor, przeżywamy jak Rzymianie cesarscy okres bujności zewnętrznej, zwierzchu pokrywającej pustkę wewnętrzną i zepsucie od korzeni fałszywego i zgubnego światopoglądu.

Wyjaśnienie, dotyczące **Nowego katechizmu** dla archidiecezyj gnieźnieńskiej i poznańskiej.

W numerze wrześniowym „Miesięcznika Katechetycznego" podniesiono w recenzji „Nowego katechizmu" trzy wątpliwości:

1. „Nowy katechizm", opisując obrzędy Chrztu św., podaje, że „kapłan w kruchcie znaczy dziecko krzyżmem św." Jest to oczywisty błąd drukarski: zamiast „krzyżmem" powinno być: „krzyżem". Omyłkę tymczasem naprawiono.

2. Drugie święta Bożego Narodzenia, Wielkanocy i Zielonych Świątek są w diecezjach byłej dzielnicy pruskiej istotnie świętami, obowiązującemi na mocy osobnego reskryptu apostolskiego z dnia 11 XII 1917.

3. Piąte przykazanie kościelne brzmi w „Nowym katechizmie": W czasie zakazanym wesel i zabaw hucznych nie sprawiać. Słowa „sprawiać" nie można zmienić mimo życzenia recenzenta, ponieważ jest to tekst urzędowy, ustalony przez Episkopat polski. Może zdziwią się czytelnicy, gdy się dowiedzą, że inkryminowane słowo zostało wprowadzone do tekstu na wyraźne życzenie ś. p. ks. arcybiskupa Bilczewskiego ze Lwowa. Jest to nowy dowód na to, że w sprawach językowych nawet wybitni znawcy języka mają nieraz odmienne zgoła zapatrywania.

Poznań, 8 listopada 1929. X. dr. Zygmunt Baranowski.

Erich Wasmann S. J.: **Eins in Gott.** Gedanken eines christlichen Naturforschers. Freiburg in Br. Herder. Str. 104 w 16°.

Znakomity przyrodnik katolicki przedstawia tu „monizm chrześcijański", naukę o jedności pierwszej Przyczyny i ostatecznego Celu wszechrzeczy. Wiara naświetla ten „monizm" nauką o łasce uświęcającej i o Najśw. Sakramencie, przez które człowiek łączy się z Bóstwem w miłosnem zjednoczeniu. „Poszukiwaczom Boga" ma być ta książeczka drogowskazem, prowadzącym do znalezienia Go i połączenia się z Nim na zawsze.

Jako stronę ujemną książki podkreślam mały druk gotyckiemi czcionkami, które raz już powinny zniknąć z drukarskich kaszt — jako ruina oczu. Papier też nie świetny. *Thl.*

Kathechetische Einführung in das zweite Kinder-Messbüchlein. „Zum Altare Gottes will ich treten" von Schott-Bihlmeyer, bearbeitet von O. Häfner, Herder, Freiburg im Br. 1929.

Jest to komentarz do niemieckiego mszalika Schotta. Taki komentarz jest potrzebny przedewszystkiem dla katechetów, ułatwia im bowiem w wysokim stopniu niełatwą pracę wprowadzenia umysłów dzieci w ducha liturgji.

Jasełka misyjne w IV aktach. Nakł. młodzieży misyjnej. Warszawa, Lipowa 14. Cena 1 zł. Stron 24 w 8°.

Łatwy układ i zręcznie wpleciony motyw misyjny (murzynek, Indjanin, Chińczyk, młodzież misyjna) polecają ten utwór na deski naszych szkolnych scenek; odpowiednie dla chłopców niższego gimnazjum.

Dr. Toth Tihanier: **Reine Jugendreife,** 4 Auflage. 8°, XII i 140 str. Freiburg im Breisgau 1929, Herder.

Religion des jungen Menschen. 8°, VI i 172 str. — tamże, 1929.

Lubo obie te książki pisane są dla dorastającej młodzieży męskiej (od 14 do 20 lat), nie uważam za prawdopodobne, żeby młodzież polska zechciała się zaznajomić bliżej z niemi, już choćby dla postępującego gwałtownie zaniku znajomości języka niemieckiego u naszego młodszego pokolenia. Zato Wiel. XX. Katecheci znajdą w pracach znakomitego pedagoga węgierskiego wiele świeżego i wdzięcznego materjału do nauk i egzort szkolnych. Znajdą też niejedną cenną wskazówkę, jak należy przemawiać do dzisiejszej młodzieży szkół średnich i akademickich, by mieć u niej chętny posłuch i poruszyć skutecznie jej serce i wolę.

Same tytuły książek dostatecznie wskazują, co stanowi ich treść. Zapalić dusze młode do gorącego umiłowania świetlanych ideałów życia czystego i religijnego, rozbudzić w nich energje potrzebne do pójścia za temi ideałami — oto cel, który przyświeca autorowi. A trzeba przyznać, że chlubnie wywiązuje się z swego zadania.

Pierwsza z wymienionych książek — „Czysta młodość" — oświeca, poucza, uspokaja, wlewa wiarę w własne siły i skuteczność środków nadprzyrodzonych. Recenzent *Osservatore Romano* (6/10 1928) podnosi z uznaniem, że autor traktuje tak niezmiernie delikatne zagadnienie uświadomienia o sprawie płciowej „z podziwu godną delikatnością". Nie mówi za mało ani za wiele. Umie spleść harmonijnie realizm z idealizmem. To też książka ta w oryginale węgierskim doczekała się w krótkim czasie aż 10 wydań.

Drugie dziełko — „Religja młodego człowieka" — posiada te same zalety literackie i pedagogiczne, co pierwsze. Chce prze-

konać młodego czytelnika, że charakter męski i silny, osobistość wartościowa i pożyteczna dla siebie i dla drugich może urobić się jedynie w oparciu na szczerych i stałych przekonaniach religijnych, podtrzymywanych i umacnianych pilnem korzystaniem ze środków nadprzyrodzonych czyli praktykowaniem swej religji.

Autor kładzie wielki nacisk na pobudki, brane ze sfery przyrodzonej. Jest to usprawiedliwione wobec wpływów, śród których obraca się dzisiejsza młodzież, zwłaszcza też wobec ideologji, jaką nasiąka w szkole. Zresztą mniejsza o drogę, byle doprowadzić dusze do Chrystusa. Wszak dopiero człowiek, uznający religię za najwyższe swe dobro, zdolny jest zrozumieć należycie potrzebę jej praktykowania i nieodzowność czerpania ze źródeł łaski.

Pińsk. *Ks. N. N.*

Ks. dr. Michał kardynał v. Faulhaber, arcybiskup monachijski: **Pismo św. na kazalnicy** z przydaniem kazania o rodowodzie Jezusa. — Ze „sprawozdania z kursu homiletycznego w Monachjum w r. 1927“ wyjął i spolszczył ks. dr. J. Korzonkiewicz. Kraków, druk. „Głosu Narodu“. Str. 70 w małej 8°.

Dostojny autor podaje w swych odczytach najpierw krótką hermeneutykę homiletyczną do wszystkich ksiąg Pisma św., następnie również krótką hermeneutykę homiletyczną do pojedyńczych ksiąg Starego i do pierwszych ksiąg Nowego Testamentu. Autor podaje znakomite wskazówki, jak ożywić nasze kazania i egzorty oparciem ich na Piśmie św. W szczególności poleca katechetom szkół średnich kazania o postaciach biblijnych (Abel, Gedeon, Jonatan, Filip, Tomasz). Wobec tendencji obniżania znaczenia Pisma św. St. Zakonu autor podkreśla niekatolickość tego rodzaju poglądów i wskazuje na pedagogiczne znaczenie postaci Starego Zakonu. *T.*

Wiktor Cathrein. T. J. **Katolicki pogląd na świat.** Str. 611 w 16-ce dużej. Nakład Księgarni św. Wojciecha, Poznań-Warszawa-Wilno-Lublin. Tłum. ks. Adam Kuleszo. Treść: I. Człowiek, jego początek, istota i cel ostateczny z punktu widzenia rozumu naturalnego. II. Chrześcijanin w świetle nadprzyrodzonego objawienia. III. Zasady moralności katolickiej.

Z pośród apologij nowoczesnych dzieło Cathreina odznacza się śmiałością krytyki rozpowszechnionych obecnie błędnych systemów etycznych, jasnym i surowym sądem objawów upadku moralnego w nowoczesnych społeczeństwach oraz piękną a prostą obroną etyki chrześcijańskiej, tej najczystszej krynicy zdrowia duchowego, z której ludzkość pić winna dla własnego szczęścia, nie poddając się ułudnym głosom t. zw. moralności niezależnej, bez sankcji wiecznej.

Wielka suma wiedzy, włożona w to dzieło, świadczy o przygotowaniu należytem autora do rozprawienia się z przeciwnemi

prądami, zwłaszcza temi, które w Niemczech zdobyły rozgłos, a stamtąd i do nas przesączają truciznę.

Książka Cathreina w dziedzinie dogmatyczno-etycznej zastąpić może zupełnie wielotomowe ciężkie dzieła apologetyczne.

Tłumaczenie dobre, choć nie wolne od germanizmów. Druk za drobny, papier lichy.

Ks. Józef Kłos: **Mowy żałobne** (1895—1914). Str. VII + 314 w 8-ce. Nakład Księgarni św. Wojciecha. Poznań - Warszawa - Wilno - Lublin.

Złotousty kaznodzieja składa w tem dziele hołd pośmiertny zasłudze wielkich obywateli i czcigodnych matron polskich. Służyć one mogą kapłanom jako wzór krasomówstwa żałobnego, ale ponadto spełniają inne zadanie jakby dokumentu dziejowego, wskazując, że wiarą w Boga, uczynkami wobec społeczeństwa i nadzieją w zmartwychwstanie karmił się duch polski podczas najróżniejszego ucisku pruskiego zaborcy. Wiara religijna mężów i niewiast zasłużonych była prosta i żywa, uczynki ich jako kwiaty polne, rozsiane na długiej drodze żywota, nadzieja zaś niby wulkan niczem nie stłumiony dyszała w piersiach i tamtych, co odeszli, i tych, co zostali, aż już pod koniec niewoli w r. 1916 wybuchła pod stropami świątyni gromkiem Fiat! w światło wolności.

Prümmer, Dominicus M., O. Pr., **Manuale Thelogiae Moralis** secundum principia S. Thomae Aquinatis. In usum scholarum. 3 tomi. gr. 8° Freiburg im Breisgau, Herder.

Tomus III. Editio quarta et quinta aucta et secundum novum Codicem Iuris Canonici recognita. (XII u. 698 S.) 1928. 13 M.; in Leinwand 14·60 M.

Zaszczytnie znany autor porusza w nowem wydaniu swej znakomitej Teologji moralnej wszelkie zagadnienia etyczne życia współczesnego: kazania radjowe, psychiczne stany przymusowe, modne tańce i ubrania etc. Najnowsze dekrety kościelne są wszędzie uwzględnione.

O. Konstanty Marjan Żukiewicz, O. Pr.: **Rozmyślania o Matce Boskiej w świetle nauki św. Tomasza z Akwinu,** Warszawa, Kronika Rodzinna, str. 304, w wielkiej 16°.

Pod skromnym tytułem „Rozmyślań" dał autor głębokie a pełne polotu studjum marjologiczne.

Oto ważniejsze rozdziały tego studjum: Skała, jako symbol Matki Boskiej. — Godność Bogarodzicy. — Wykład tajemnicy Zwiastowania. — Trójca św. a Bogarodzica. — Cnoty Marji. — Pełność wiedzy Marji. — Magnificat. — Śmierć i wniebowzięcie. Królowa wszechświata. — O czci Matki Boskiej.

Dzieło O. Żukiewicza nadaje się zarówno do rozmyślań indywidualnych, jak i do zbiorowych czytań w organizacjach i stowarzyszeniach katolickich, a zwłaszcza w ciągu maja i października.

Specjalnie polecone do bibljotek sodalicyjnych.

Fr. Foerster: **„Szkoła i charakter“.** Zagadnienia moralno-pedagogiczne życia szkolnego. Autoryzowany przekład z 14 wydania niemieckiego przez Jana Kramera i Bol. Kaprockiego. Lwów. Igel. Stron 270 w wielkiej 8°. Cena 12·80 zł.

Znane dzieło Förstera ukazało się w polskiem wydaniu. Autor postawił tezę: Szkoła dbająca tylko o nabywanie umiejętności, wychowa słabe charaktery, które w walce życiowej szybko ulegną i zanurzą się w bagnie moralnem. Tylko charakter oparty na chrystjanizmie nie boi się burz, tylko on przezwycięży zło. Zadaniem szkoły powinno być przedewszystkiem pielęgnowanie charakteru, wszczepianie zasad etyki, podnoszenie poziomu moralności. Każda wiadomość, podana uczniowi, powinna wykazywać mu, że tylko czysty charakter jest najwyższem dobrem człowieka.

Tłumaczenie poprawne. Papier lichy. *N.*

Varia.

1. Nie zgodzimy się.

(W sprawie nauczania historji Kośc. w szkole powsz.).

Sprowokowany — do pewnego stopnia — przez ks. Władysława Budzika w „Wiadomościach dla Duchowieństwa“ poczuwam się do obowiązku napisania paru słów odpowiedzi na jego artykuł p. t.: „Chciejmy się zgodzić!“.

Sprawę uważam za aktualną tem więcej, że stoimy w obliczu zmian programów nauczania religji w szkole powszechnej. Oby szczęśliwych!

„Miesięcznik Katechetyczny“ zaś uważam za jedyny i właściwy teren podobnych dyskusyj. Przyzna to i sam ks. Budzik, zaczepiający mnie aż w poznańskich „Wiadomościach dla Duchowieństwa“.

A limine odpowiadam niestety: Nie zgodzimy się.

Może lepiej, że sprawę postawię zaraz na progu w ten sposób, by nie było żadnych wątpliwości co do ujęcia zasadniczego kwestji, żywo nas — uczących w Małopolsce w szkołach powszechnych — obchodzacej. Jasne bowiem postawienie zagadnienia ułatwia (zresztą) i upraszcza znakomicie dyskusję. Na to zgodzi się i Szan. ks. Budzik, chociaż... w praktyce niezawsze w ten sposób dyskutuje, woląc raczej pewną rozlewność w treści i formie.

Ks. Budzik udowadniając — pro posse — konieczność nauczania historji kościelnej w szkole p o w s z e c h n e j, udowadnia tylko wielki pożytek, jaki mogą odnieść dzieci, gdy im ilustruje się te czy inne prawdy katechizmowe przykładami z żywotów świętych i dziejów Kościoła. Nie udowadnia zaś i udowodnić nie może, że dzieciom w szkole p o w s z e c h n e j można dać „całokształt dziejów Kościoła“, a nawet (jak chce wyraźnie ks. Budzik): „d a ć g e n e t y c z n y o b r a z d z i s i e j s z e g o s t a n u K o ś c i o ł a“. Risum teneatis! Chodzi przecież o szkołę p o w s z e c h n ą.

Twierdzę, że nie może udowodnić, bo — jak świadczą szczere wyznania (i na zjazdach zawodowych i w prywatnych rozmowach) księży Kolegów uczących w szkołach średnich — nawet w wyższem gimnazjum stanowczo trudno dać uczniom całokształt dziejów Kościoła świętego. Owszem powiadają wręcz, że skondensowane wiadomości z historji kościelnej, podane uczniom w klasie piątej, szóstej gimnazjalnej, budzą jeno dużo wątpliwości, nasuwają cały las trudności nie do przebycia i nie przyczyniają się zupełnie do ożywienia wiary naszych gimnazjastów.

A cóż dopiero mówić o „słuchaczach“ szkółki powszechnej...

Nie jestem — broń Boże — jakimś zasadniczym wrogiem zaznajamiania elementarnego z historją Kościoła — data occasione — w przystępnych obrazkach. Parę lat wstecz pisałem (w „Miesięczniku“ naszym) o nauce historji kościelnej (w tym sensie) w szkole powszechnej. Ale nie wyobrażam sobie wprost tych „wykładów historji kościelnej“ ex professo w szkółce powszechnej. Nie jestem oddawna pod tym względem odosobniony. Np. archidiecezja krakowska — mimo obowiązujących programów ministerjalnych — „przepędziła za góry i lasy“ wykład historji kościelnej ze szkoły powszechnej i zupełnie planowo i celowo wprowadziła samodzielnie inny program nauki religji na oddział siódmy.

Inicjatorzy tej innowacji doczekali się aprobaty po paru latach, aprobaty zasłużonej i autorytatywnej. Oto na ostatnim ogólnopolskim kursie katechetycznym w Krakowie, odbytym w kwietniu b. r., naczelny wizytator nauki religji rzym.-katolickiej w Minist. W. R. i O. P., ks. prałat Antoni Ciepliński zakomunikował księżom Prefektom, zgromadzonym z całej Polski, że w nowych planach (z r. 1929) przekreśla się naukę historji Kościoła św. ex professo (w szkole powszechnej), a na jej miejsce wprowadza się na oddział siódmy syntezę katechizmową. Zmiana ta została ex

offo akceptowaną przez J. Em. Ks. Kard. Prymasa Hlonda, jako reprezentanta naszego Episkopatu.

Tylko w oddziale szóstym (na końcu roku szkolnego) ma się dołączyć po wiadomościach o dziejach apostolskich kilka (dosłownie: kilka) obrazków z przeszłości Kościoła św. w formie całkiem elementarnej. — Obrazki te będą wyszczególnione in specie przez nowe plany i nie przypominają zupełnie — nawet zdaleka — wykładu „całokształtu dziejów Kościoła", ani nie kuszą się o przedstawienie „genetycznego obrazu dzisiejszego stanu Kościoła" — jak sobie życzy ks. Budzik.

Przypuszczam, że obecnie i ks. B. nie kruszyłby już — może — kopji w sprawie przesądzonej przez praktykę szkolną i przez przemyślaną decyzję naszej władzy.

My, którzyśmy — po rozwadze długiej i poważnej — zwalczali koncepcję nauki historji kościelnej ex professo w szkółce powszechnej, z radością stwierdzamy, że zmiana zapowiedziana jest bardzo szczęśliwą. Powtórzenie systematyczne katechizmu w oddziale siódmym będzie najodpowiedniejszym finałem nauki religji dla naszych małych „abiturjentów".

Cieszę się, że swym memorjałem z września 1928 r., skierowanym do ks. prałata Cieplińskiego, przyczyniłem się odrobinę do tej racjonalnej zmiany. *Ks. Henryk Weryński.*

2. Należałoby zmienić.

Nasze podręczniki do nauki religji, przeznaczone dla szkół powszechnych, często nie liczą się z lingwistycznemi trudnościami, których malcy nasi pokonać nie umieją mimo najlepszej woli. Trudności te napotykają malcy — niestety — i w tych schematach, które mają sobie przyswoić napamięć i które wbija im się w główki nieraz przedwcześnie, nieraz z przesadną, niczem nieusprawiedliwioną pedanterją.

Między innymi bardzo słusznie podniósł ks. K. Tomanek w poznańskich „Wiadomościach dla Duchowieństwa" sprawę zmiany tekstu przykazań VI i IX z dekalogu i II kościelnego.

Wprawdzie możnaby zarzucić, że zmiana taka wywoła małą „rewolucję" wśród maluczkich, ale poważne względy zasadnicze przemawiają za tem, by zmianę proponowaną wprowadzić. I to rychło.

Chodzi jednak o to, by — naprawdę — utrafić należycie przy wprowadzeniu zmiany. Gdyby bowiem ta zmiana nie była naprawdę „na lepsze“, to lepiej nie próbować żadnej zmiany. Stara, zadomowiona niejako, niewłaściwość we wysłowieniu i określeniu tych terminów katechizmowych będzie — w każdym razie —. lepszą, niż kulawa nowość.

Zmiana taka musiałaby — następnie — uzyskać aprobatę naszego Najdost. Episkopatu, by mogła być wprowadzoną do wszystkich podręczników nauki religji na całym obszarze Rzeczypospolitej, a — o ile możności — i na terenie Polonji amerykańskiej — równocześnie. Lokalne eksperymenty wywołałyby niemiły efekt. I takie lokalne próby nie prowadzą — w tym wypadku — do celu.

A zatem: przygotować przez wyczerpującą dyskusję zmianę proponowaną z całą precyzją, ale — następnie — wprowadzić ją powszechnie (wszędzie bezwzględnie) po uprzedniej urzędowej aprobacie wspólnej konferencji Księży Biskupów.

Do dyskusji i ja — jako prefekt, a zatem z grona najbardziej zaintererowanych, chętnie przystępuję, korzystając z łaskawej gościnności „Miesięcznika Katech. i Wych“.

Stwierdzam a limine, że słowa przyszłych terminów (w odniesieniu do wspomnianych trzech przykazań) muszą być:

1. krótkie i jędrne,
2. wyrażające istotną myśl Bożą, ewentualnie Kościoła św.,
3. bardzo popularne i nadzwyczaj przystępne.

Zacznę od II przykazania kościelnego, którem kończy X. R. Tomanek swe wywody w „Wiadomościach dla Duchowieństwa“.

Odrazu musiałbym odrzucić określenie: uczestniczyć. Przekonałem się, że słowo to jest bardzo trudnem dla małej dziatwy. Stale powtarza je np. katechizm archidiecezji lwowskiej, który wprowadziłem na próbę u siebie w dwu szkołach w oddziale III i IV. I widziałem, że malcy „przewracają się“ na tem słowie: uczestniczyć. Niektórzy nie mogą go wprost wymówić, inni je przekręcają. Trzeba bowiem zważyć, że dzieci wiejskie i małomiasteczkowe nigdy w domu (i wogóle w potocznej rozmowie) nie używają tego słowa.

Najwłaściwszem byłoby rzetelne oddanie w polskim przekładzie łacińskiego *interesse*. A więc proponowałbym redakcję: „w niedziele i święta brać udział w przepisanem nabożeństwie

kościelnem“, — dopóki ktoś składniej nie sformułuje tego przydługiego i trudnego przykazania.

Jeśli chodzi o VI (a ubocznie o IX) przykazanie Boże, to m. zd. należy precz wyrzucić z projektu zmiany wszelkie „nieczystości“, bo one wprowadzają dla małych dzieci szkopuł w interpretacji. Malec najczęściej łączy odruchowo nieczystość z nieumyciem.

Stanowczo lepszem jest pojęcie i określenie: n i e w s t y d y. Stary praktyk i wybitny przytem teoretyk, ks. radca Gadowski, stale używa tego określenia i mogliśmy przez szereg lat my, jego uczniowie, wypróbować, że ten termin znacznie lepiej nadaje się do elementarnej nauki niż „nieczystości“. Dodać należy, że w pewnych okolicach „nieczystościami“ nazywa się eufemicznie ekskrementa.

Możeby zamiast niewstydy — bezwstydy? Pierwsze łatwiejsze w wymówieniu dla malców.

A zatem proponowałbym następującą redakcję VI i IX przykazanie:

S z ó s t e: Nie czyń nic niewstydliwego (bezwstydnego)!

D z i e w i ą t e: Nie pożądaj nic niewstydliwego!

Proponuję określenie: „rzeczy niewstydliwe“. Ale wtedy — mimowolnie — eliminuje się: osoby, wyobrażenia myśli. Gdzież je pomieścić?

Oczywiście chętnie uczyć będą według innych terminów, gdy racje poważne innym określeniom wyrobią prawo obywatelstwa.

Warto zastanowić się nad tem, co tu wspominam pokrótce, warto przedyskutować na zebraniach kół, a potem podzielić się wynikami dyskusji na łamach naszego „Miesięcznika“.

Vivant sequentes! *Ks. Henryk Weryński.*

3. Na jubileusz Ojca św.

Leży przede mną odezwa francuska z Lisieux, podpisana przez ks. dyr. O. Germain, wzywająca księży francuskich do uczczenia jubileuszu kapłańskiego Piusa XI — po kapłańsku.

Oto — od 12 do 20 grudnia b. r. (włącznie) odprawiać się będzie u grobu św. Teresy od Dzieciątka Jezus w Lisieux uroczysta nowenna z codzienną Mszą św. na intencję Najdostojniejszego Jubilata na Stolicy Piotrowej.

Ks. Germain wzywa wszystkich księży, by wzięli udział duchowy w tej uroczystej nowennie przez modlitwy i dobre uczynki, a także przez odprawienie Mszy św. na intencję Ojca św. w jeden z dni nowenny. Na dołączonej (do odezwy) karcie ozdobnej ma każdy z chętnych współbraci-kapłanów wypisać swe życzenia dla Ojca św. i podać ofiary duchowne, które przyrzeka złożyć w czasie uroczystej nowenny. Z kart tych przesłanych do Lisieux, powstanie album, który zostanie wręczony Ojcu św. jako podarek kapłański na jubileusz.

Piękna naprawdę myśl i godna naśladowania!

Czybyśmy i my — księża polscy — nie powinni zdobyć się na podobny podarek dla Ojca św. na dzień Jego złotych godów kapłańskich? Tem bardziej, że chodzi tu nietylko o Namiestnika Chrystusowego, ale i wielkiego przyjaciela naszej ukochanej ojczyzny. — Ojciec św. manifestuje przecież raz po raz serdeczną pamięć o Polsce, wyróżnia zawsze Swą szczególną życzliwością pielgrzymów polskich. Niechże i kler polski odpowie równie serdecznie Ojcu świętemu!

Gdyby taka akcja zbiorowa — na naszym terenie — nie doszła (mimo wszystko) do skutku, weźmy udział w akcji naszych konfratrów francuskich i wysyłajmy życzenia i spis ofiar duchownych (na arkuszach większego formatu) pod adresem:

Monsieur l'abbé O. Germain
52 rue de Livarot
Lisieux (Calvados) *France.*

Pisać najlepiej: po łacinie.

Zaznaczam, że ks. dyr. Germain prosi bardzo o podanie dokładnego i czytelnego adresu (obok podpisu uczestnika nowenny).

Można również zwrócić się w tej sprawie o pośrednictwo do Redakcji „Głosu Karmelu“, Kraków, ul. Rakowicka 18.

Z pewnością niejeden zarząd koła księży Prefektów przeznaczy życzliwy kącik tej odezwie w programie porządku dziennego najbliższego zebrania koła. Liczymy na to. Pośpiech wskazany.

Stary Sącz. *Ks. Henryk Weryński.*

Sprawy sodalicyjne.

Wycieczka lwowskich sodalisów po zachodniej Polsce.

(Od 28 czerwca do 20 lipca 1929 r.)

Ze wspaniałej wycieczki sodalicyjnej, trwającej przeszło 3 tygodnie, kreślę garść wrażeń i doświadczeń, z których korzystać będą mogli ci księża, którzy kiedyś podobną poprowadzą wycieczkę.

Wycieczkę przygotowywałem przez pół roku. Trzeba było zapewnić sobie każdy nocleg, uzyskać pozwolenia na zwiedzanie kopalń i fabryk. Pieniądze składali uczniowie ratami co miesiąc. Lekarz zaświadczył o zdrowiu wszystkich wycieczkowców. Więc wyruszamy.

W dzień rozdania świadectw 28 czerwca uniósł wieczorny pociąg krakowski gromadę sodalisów z przed oczu licznie zgromadzonych na dworcu rodziców. Pierwsza noc mija zwykle na wycieczkach bezsennie; w niektórych jednak przedziałach chłopcy spali, potrafiwszy nakazać sobie i innym milczenie. W Krakowie wita nas na peronie przezacny ks. dr. Rychlicki i umieszcza w gościnnym domu OO. Zmartwychwstańców (ul. Łobzowska 10). Po Mszy św. wynajmujemy za 80 zł. autobus (w Krakowie przedsiębiorcami autobusowymi są przeważnie chrześcijanie), który wiezie nas (14 osób) z dużą chyżością przez schludne Bronowice w kierunku grot Łokietkowych. Wjazd serpentynami wdół w krainę skał Ojcowa jest poprostu czarujący. W Ojcowie tłumy wycieczkowców. Często słychać język niemiecki: to wycieczki Niemców śląskich. Zaopatrzeni w przewodnika i piękne a tanie laseczki ojcowskie, rozpoczynamy wędrówkę po oślizgłych grotach; mniej zgrabni „sypią się" jeden po drugim, na szczęście bez wypadku. Do najwspanialszej groty Łokietka wchodzimy ze świecami i latarkami w rękach. Idzie się długo w podziemiach. Miejscami skały zwężają się tak, że się ledwo można przecisnąć. Na głowy kapie wciąż woda zaskórna. Pokazują „piec" Łokietka i „stół". Dochodzimy do „sypialni" króla (jedyne miejsce, gdzie woda nie kapie). Pokazują „królewskie łoże" (oczywiście wszystko jest kamieniem naturalnym). — Z góry Chełmowej (472 m) widać Tatry. Zwiedzamy ruiny zamku Kazimierzowego (ze „studnią miłości") i wsiadamy do naszego autobusa. Zanim wszyscy wsiedli, zdołało ja-

kieś auto przejechać najmłodszego z naszych sodalisów (koło przeszło przez stopę). Powracając podziwialiśmy szybkość krakowskich autobusów (zegar wskazywał do 80 km na godzinę). W Krakowie zakładamy przejechanemu Witusiowi solidny opatrunek na nogę.

W niedzielę 30 czerwca Msza św. w kaplicy Sióstr Najświętszej Rodziny (ul. Siemiradzkiego 31). Jest to zgromadzenie świeckich osób, które samym swoim wyglądem okazują niespotykane wśród świeckich uduchowienie. Dają one dla wszystkich obiady, nam zaś dały nadto śniadania i kolacje: dobrze, tanio i dużo. Przez cały dzień zwiedzamy Kraków. W Zamku królewskim odnowiono już pięknie kilkanaście sal, parteru i pierwszego piętra (wspaniałe stropy modrzewiowe w parterze, sala poselska „pod głowami" na 1-szem piętrze). Lecz wrażenie zepsuto obrazami i sprzętami, które nie odpowiadają stylem starożytnym murom Zamku. — Przy dzwonie Zygmunta znakomicie wyjaśniał genezę i budowę (3 tony dzwonu) sędziwy strażnik wieży.

1 lipca opuściliśmy gościnny Kraków. Za Szczakową wjeżdżamy w kraj kominów i sadzy. Zwiedziwszy przelotnie piękne Katowice (niewielkie miasto o ruchu wielkomiejskim), jedziemy do Kostuchny, do jednej z najbogatszych kopalń węgla na Śląsku. Niespodzianka: na dworcu wita nas inżynier kopalni „Boer", pan Bialik i wsadza do oczekujących nas pojazdów książęcych, które unoszą nas przez posiadłości Henryka XV, księcia na Pszczynie („Fürst von Pless") ku upragnionej kopalni węgla. Przebieramy się w ubrania górnicze (hełm skórzany na głowie). Wsiadamy do windy z duszą na ramieniu. „Jazda!" — Wpadamy w głąb ziemi. Latarkami karbidowemi oświetlamy mokre ściany szybu. 200 metrów pod ziemią wychodzimy na dworzec kolei elektrycznej. Długie szeregi wagoników węglowych. Wsiadamy do naszego pociągu: ja z inżynierem na lokomotywę elektryczną, chłopcy na wagony z największą ostrożnością, gdyż tuż nad głowami ciągnie się drut o wysokiem napięciu. „Baczność, nie wychylać się!" Ruszamy. Jedziemy dość szybko. Mijamy różne pociągi węglowe; przejeżdżamy parę stacyj podziemnych. Wreszcie pociąg staje; dalej idziemy pieszo. Miejscami przeskakujemy przez kałuże wody (cały system pomp chroni kopalnię od zalania). Przy końcu

ganku zgęszczone powietrze, doprowadzane rurami z powierzchni ziemi, pędzi olbrzymi świder w głąb pokładu węgla. Górnik wkłada dynamit w 2 metrowy otwór i przybija go długą kiszką piasku. Zapalamy lont i uciekamy. „Pali się! Pali się!", krzyczą górnicy w głąb ciemnych krużganków. Po minucie oczekiwania rozlega się huk eksplozji, jakiś głuchy a głęboki. Przybiegamy: skała węglowa rozwalona. — Oglądamy jeszcze sztolnię starą z wybranym już węglem. Widzimy miejsce niedawnej katastrofy: skutkiem działania wody sklepienie węglowe runęło; kopalniaki połamane jak patyczki; u góry widać warstwę łupku. Syci wrażeń wyjeżdżamy wgórę na świat Boży. Oglądamy jeszcze wspaniałe urządzenie sortowni i płóczkarki, a potem sami płóczemy się natryskami i we wannach z podziemnego kurzu węglowego.

Dyrekcja kopalni ugościła nas jeszcze sutym obiadem w pobliskiej restauracji i odwiozła swemi końmi na dworzec. Kostuchna zachwyciła nas nietylko swemi czarnemi diamentami, lecz i gościnnością gospodarzy, zupełnie niezwykłą w dzisiejszych czasach.

Pociąg wiezie nas do *Królewskiej Huty*. W gimnazjum państwowem wyznaczono nam na trzy dni kwaterę w suterenach wilgotnych o betonowej posadzce, moczonej w dodatku wodą z wodociągu, umieszczonego w kącie sali. Powietrze stęchłe, niezdrowe. W nocy musieliśmy oczywiście spać przy szeroko otwartych oknach (w rezultacie jeden z uczniów się przeziębił i rozchorował).

2 lipca, wtorek. Dziś zwiedzamy olbrzymią Hutę Królewską o siedmiu wysokich piecach. W kancelarji huty podpisuję cyrograf, zrzucający z zarządu huty prawną odpowiedzialność za kalectwo lub śmierć którego z wycieczkowców. Wpadamy między dziesiątki małych pociągów z węglem, rudą żelazną, koksem i t. d. Świst, hałas, zaduch. Z olbrzymich pieców martynowskich o temperaturze 1800^{0} C. szeroką strugą płynie roztopione żelazo i wypełnia okrągłe formy, zwane gęsiami. Ten półsurowiec, zawierający jeszcze dużo węgla, stapiają raz jeszcze w olbrzymie bloki. Kolosalne dźwigi wrzucają rozpalone do białości bloki żelaza pod olbrzymie walce, które je niemiłosiernie prasują i miażdżą na coraz to cieńsze i dłuższe belki i sztaby. Inne widowisko: Olbrzymie gruszki żelazne, rozgrzane

do białości, dostają się pod potworny młot, który w nie bije z niesamowitą siłą kilku tysięcy kilogramów i płaszczy w dowolne formy; w oczach naszych powstaje koło do wagonu kolei żelaznej. Gdzie indziej znowu z pod walców wybiegają szyny, zionąc takim żarem, że za każdem zjawieniem się prasowanej szyny kłaniamy się jej czapkami (aby czapka zasłoniła twarz od bijącego żaru). Obok nas pędzi wagonik z rozżarzonym blokiem, pchnięty niewidziąlna siłą (onegdaj pękła oś takiego wagonika, blok przygniótł robotnika, który żywcem spłonął). Nad głowami krążą olbrzymie kadzie z płynnem żelazem (niedawno polała ona jednego robotnika). Ogólne wrażenie: kuźnia Wulkana. Przedpiekle.

Rzecz dziwna: ani w kopalni węgla, ani w hucie nie słyszeliśmy skarg na ruinę zdrowia. Owszem, w Kostuchnie zapewniano, że węgiel wdychiwany płuca „impregnuje“, zaś w Hucie Kr. twierdził robotnik, że atmosfera hutnicza człowieka wzmacnia. Tak to człowiek zawsze coś sobie na pociechę wymyśli. — Zapłata robotnika wynosi w Hucie około 11 zł. dziennie, w Kostuchnie trochę mniej.

Obiady i kolacje jedliśmy w tanich a dobrych jadłodajniach miejskich.

3 lipca, środa. Tramwajem do *Lipin*, do największej na kontynencie cynkowni „Silesia“. Podpisuję nowy cyrograf. Blenda cynkowa prażona o 900^0. Para cynkowa skrapla się; morze cynkowe w piecu. Cynk odlany w formy idzie pod walce. Obok fabryka chemiczna wykorzystuje produkty uboczne blendy. Zwiedzać tę fabrykę z pożytkiem mogą tylko starsi chłopcy, mający pewne wiadomości z chemji. — Robotnicy zarabiali tu około 9 zł.

Po południu pielgrzymka do *Wielkich Piekar*. W kapliczkach różańcowych, prowadzących wgórę do kościoła, odmawiamy po cząstce różańca, by wymodlić sobie nastrój religijny. Wreszcie dochodzimy do kościoła z cudownym obrazem Najśw. Marji Panny. (Pierwotny cudowny obraz M. B. w czasie wojny szwedzkiej przenieśli jezuici do Opola, pozostawiając na miejscu kopję; ta jednak kopja bardziej słynie z cudów, niż oryginał). Obraz cudowny zasłonięty. W obszernym kościele cisza. Ogarnia nas jakiś niepojęty urok — jakby promienie niewi-

dzialne biją od świętego obrazu w głąb serc. Modlimy się długo i gorąco.

4 lipca, czwartek. Odjeżdżamy już ze Śląska z tem poczuciem, żeśmy zaledwie cząstkę skarbów tej ziemi poznali. Postanawiamy powrócić tu jeszcze kiedyś. Wjeżdżamy do *Poznania*. Otrzymujemy wspaniałe kwatery w gimnazjum niemieckiem (osobne łóżka ze świeżą bielizną, w bufecie tanie i zdrowe obiady i kolacje).

5 lipca, piątek. Idziemy do słynnego ogrodu zoologicznego. Przchodzimy obok zgrabnych jeleni i danieli do lwów morskich, które z niecierpliwością oczekując na ryby, rzucane im przez dozorcę, ochryple szczekają jak psy; niesłychanie zwinne obserwują wciąż, czy któryś z gości nie daje dozorcy pieniędzy na ryby; rzucone im ryby połykają w mgnieniu oka z wielką żarłocznością; obok kolosalne żubry przeszło 3 metrowej długości — chluba ogrodu poznańskiego. Dalej niedźwiedzie brunatne i białe; rozkoszne niedźwiedziątka, które mama kąpie w basenie, zwracają powszechną uwagę, nakarmiwszy bułkami słonia indyjskiego, składamy wizytę okrętom pustyni o jednym lub dwu garbach i niegroźnym za kratkami odyńcom. W małpiarni awantura: jakaś pani podaje małpie lusterko, uradowana małpa ucieka z lusterkiem, przegląda się w niem ucieszenie i wreszcie zaczyna lusterko zjadać. Dozorca interwenjuje, wypowiadając przytem gorzkie uwagi pod adresem publiczności. W alpinarjum podziwiamy przedstawicieli fauny wysokogórskiej (kozice, owce grzywiaste). Orły, sępy i kondory nie zaimponowały, gdyż miały wygląd bardzo żałosny — ci uwięzieni królowie powietrza. Podziwiamy niesłychanie zwinne we wodzie wydry. Z papużarni wypłaszają nas wkrótce swoim okropnym wrzaskiem ary i rozmaite inne kakadu. Przechodzimy obok dwóch sztucznych stawów z wysepkami dla ptactwa wodnego, ku wielkim drapieżcom z rodziny kotów. Lwy patrzą gdzieś wdal zadumanym wzrokiem; na ludzi ani spojrzą; rozkoszne lwiątka bawią się jak kociaki. Wspaniałym okazem jest olbrzymi tygrys bengalski z małżonką. Zkolei podziwiamy największego z ptaków: strusia afrykańskiego. Obok stoją nieruchomo zadumane marabuty z potężnemi dziobami. Wkońcu dochodzimy do olbrzymiej żelaznej kopułowatej woljery, rozpiętej nad sztucznym potokiem, tworzącym wśród zieleni sztuczne bagno. Rojno tam

i gwarno. Obok czarnych bocianów, przechadzają się smukłe czerwonaki o długich szyjach z dziwacznym dziobem; lecz dziób pelikana jest jeszcze bardziej interesujący, zawiera bowiem torbę na pokarm. Oczy rwą czerwono ubarwione ibisy z długiemi, krzywemi dziobami; najpiękniejsze są jednak malowniczo upierzone bażanty złociste i diamentowe; chcą ich zwyciężyć w konkursie piękności pawie koguty, roztaczając wachlarzowato swe barwne ogony.

Po południu zwiedzamy w mieście ratusz ze studnią Neptuna i pręgierzem. Obiad w restauracji na Starym Rynku i jazda na wystawę. W dziale przemysłowym zainteresowały chłopców polskie rowery „Inwencja" i wspaniałe polskie auta „Ursus". W wielkiej sali na potężnych organach wygrywał jakiś pan skoczne kawałki operetkowe. Stoisko dzwonów: śliczny akord dzwonów pędzonych elektryką. Wystawa dewocjonaljów: a więc mamy już polskiego wyrobu ładne kielichy i puszki, których dotąd nadaremno szukałem. Przez most obok fontanny przechodzimy do słynnego „Wesołego Miasteczka" i obserwujemy bajeczne pomysły humoru pochodzenia przeważnie niemieckiego: ruchome schody, górska kolejka, ślizgawka wodna, pyszny pomysł: automobile kierowane przez gości i tym podobne hocki klocki. U wejścia do „wsi murzyńskiej" powinno się było umieścić napis: „Dla młodzieży wstęp wzbroniony". Zobaczywszy na estradzie taniec murzynów, musieliśmy stamtąd co prędzej wyjść (tam dopiero, widząc tych dzikusów tańczących, otwierały się oczy na właściwe znaczenie i cel modnych tańców, zapożyczonych od murzynów; ruchy ich taneczne były całkiem jednoznaczne). Po drodze do domu kilku się zgubiło; pisali w domu potem karę.

6 lipca, sobota. Rano wstawanie z oblewaniem (ciężko było wstać). Zwiedzamy katedrę (grobowce Mieczysława I Bolesława W.) i Muzeum Wielkopolskie („Pochód na Wawel", „Macierzyństwo" Szymanowskiego). Upał straszliwy, idziemy więc kąpać się we Warcie (chłopcy okazują więcej odwagi, niż umiejętności pływania, H. wpadł w głębsze miejsce, ale sam się wydobył; łódka czuwa nad bezpieczeństwem kąpiących się). Orzeźwieni kąpielą spożywamy obiad w jadłodajni na Starym Rynku (dobra i tania) i — jazda na wystawę. Teren B. Samorządy (dość nudne), Polska zagranicą (ciekawe przedstawienie germanizacji; piękne trofea z Kanady). W pawilonie Ministerstwa W. R. i O. P. najpokaźniej

prezentuje się „przysposobienie wojskowe“, słabo filologja klasyczna i — niestety — religja rzym.-katolicka [1]). W oddziale maszyn zwraca uwagę cały dworzec kolejowy, zapełniony polskim wyrobem: wagonami i wspaniałemi parowozami. W następnej hali zachwycają się chłopcy pięknemi samolotami, a zwłaszcza awionetkami; długo staliśmy przed ślizgowcem Pana Prezydenta Państwa (samolot ślizgający się po powierzchni wody, zanurzając się tylko do 20 cm). W słynnej palmiarni oprowadzał nas ekscentryczny przewodnik, mimo siwego włosa pełen temperamentu i swoistego dowcipu. Tu widzieliśmy po raz pierwszy w życiu krzewy herbaty, kawy, drzewa cytrynowe z owocami, potężne banany etc. Niezwykle ciekawą jest roślinność pustynna (kaktusy, agawy etc.), rozmieszczona w osobnej hali. Na zakończenie jeszcze raz do „Wesołego Miasteczka“: w jakiejś budzie zwierciadło wklęsłe i wypukłe powykrzywiało nas w okropne karykatury, cienkie i grube; na strzelnicy osiągnęliśmy wspaniałe rezultaty z flobertu i z wiatrówki; i na „kole pod parasolem“ sprzyjało nam szczęście. Radośnie było i wesoło tego wieczoru. W parę godzin potem pośpieszny pociąg uniósł nas z Poznania ku Pomorzu. W Bydgoszczy pożegnaliśmy naszego kochanego przewodnika (akademika), który zupełnie bezinteresownie oprowadzał nas przez trzy dni po Poznaniu i wystawie.

---

[1]) W jednej salce o rozmiarach: 3 m szer. i 7 m długości skupiono „eksponaty religijne“ z zakresu nauki rzym.-katol. religji:

Podręczniki szkolne, czasopisma katechetyczne i religijne, sprawozdania z pracy Stow. ks. Prefektów, Związku Sodalicyj Marj. szkolnych, mapy i obrazy biblijne (słabe), rysunki liturgiczne i biblijne, wykonane przez dzieci szkół powsz. (liturgiczne niezłe, biblijne bardzo słabe), rysunki katechizmowe (dość słabe), rysunek ilustrujący rozwój aparatów kościelnych, projekt wiz. Cybulskiego na ołtarz szkolny, ładna bielizna liturgiczna, „konspekty lekcyj“ rozmaitych (o miłosierdziu Jezusa, o Najśw. Sakramencie etc.), plan pogadanki rel. według ks. Młynarczyka, wykaz szkół zakonnych (6880 młodzieży żeńskiej w szkołach SS. Urszulanek (najwięcej), Nazaretanek, Bazyljanek etc.), wreszcie witraż (szkoły zdobniczej w Poznaniu). Oto mniej więcej wszystko. Całość nie imponowała. Niektóre „rysunki biblijne“ były wprost rażące. Wykazy statystyczne były niewystarczające. Najbardziej raził brak modeli rysunków, wykresów, grafikonów uzmysławiających nauczanie poszczególnych przedmiotów religji; to, co było wystawione, było przeważnie pracą dzieci. Brakowało prac katechetów. Mimo tych braków należy się wdzięczność Ministerstwu W. R. i O. P. i za to, co wystawiono. Była to przecie pierwsza powsz. wystawa katechetyczna.

7 lipca, niedziela. W Gdańsku przywitał nas wprawdzie na dworcu wysłannik gminy polskiej i doprowadził do polskiego domu, ale na tem koniec. Na przewodnika czekaliśmy parę godzin. (Organizacja miejscowa nieco szwankowała.) Po obiedzie podziwiamy czarującą architekturę Gdańska, jej wysoki artyzm i posmak starożytności; słynne przedproża zachowały się przed niewielu tylko domami. Zdążamy do portu; okrętem spacerowym jedziemy Motławą i Martwą Wisłą na Westerplatte. Port z jego statkami i żórawiami wprawił młodzież w rzetelny zachwyt. Wielkie statki oceaniczne miały istotnie wygląd imponujący. Chłopcy starają się z barw flag poznać przynależność państwową okrętów; najwięcej jest statków niemieckich, duńskich i angielskich, jest też dość włoskich i szwedzkich. Wysiadamy na Westerplatte. Niemiła przygoda: w gospodzie nie przyjęto nas (w dniu tym odbywał się w Gdańsku zjazd handlowej młodzieży niemieckiej z Rzeszy i z Austrji. Ogólny nastrój w mieście był bardzo wrogi Polakom; nieustannie insultowano nas na ulicy). Wieczorem zwiedzamy jeszcze miasto; z osobliwości Gdańska podobały się chłopcom: kościół Marjacki, dwór Artusa, ratusz z Zygmuntem na wieży, katownia miejska z pręgierzem, nad Motławą brama z żórawiem, poruszanym ongiś stopami niewolników, chodzących po kole od wewnątrz. Wieczorem nie dają nam zasnąć dzikie okrzyki manifestujących Germanów.

Wyszedłszy na ulicę, obserwowałem olbrzymi pochód z pochodniami, poruszający się wśród nieustannych okrzyków „Heil! Heil!“ W ciągu dnia widzieliśmy na ulicach śpiewające oddziały młodzieży, prezentującej się świetnie; to była tylko elita. Teraz widziałem wszystkich, i tych najbiedniejszych, prawie że obdartych, ale pełnych entuzjazmu. Rozpromienione oczy, dumne wejrzenia i ogólny zapał świadczyły, że cel manifestacji był osiągnięty: rozpalenie do białości nienawiści ku Polakom.

Nasuwają się refleksje niewesołe: po jedenastu latach ścisłej łączności z Polską, po jedenastu latach ciągłych świadczeń i dobrodziejstw, które Gdańsk wzbogaciły (ruch w porcie wzrósł trzykrotnie w stosunku do ruchu przedwojennego), wyhodowaliśmy sobie żmiję, która tylko czyha, by nas śmiertelnie ukąsić. Tylko bezwzględny bojkot może być odpowiedzią na tę nienawiść; skierowanie całego wywozu do Gdyni z zupełnem ominięciem Gdańska upokorzy zuchwałe to miasto.

8 lipca, poniedziałek. Z lekkiem sercem opuszczaliśmy Gdańsk na miłym, ładnym statku polskim „Jadwiga". Raz jeszcze przesunął się przed oczyma naszemi olbrzymi port z długiemi wybrzeżami, wobec którego nasz port gdyński wydał mi się czemś maleńkiem. Wjeżdżamy w morze. Owiewa nas ostry, zimny wiatr. Witusia N., który wybrał się w podróż bardzo lekkomyślnie, ubieram w mój gruby sweter. Wicher coraz ostrzejszy, fale rosną w oczach, okręt poczyna się kołysać coraz silniej. Dojeżdżamy. Na helskiem molo pożegnało nas morze, obejmując swym chłodnym, mokrym uściskiem całą naszą wycieczkę; R. został dokładnie oblany, przemókł mimo dwu płaszczy i w następstwie lekko się przeziębił. Jeszcze na molo opadli nas kelnerzy wysłani przez „bijących bryndzę" w tym roku właścicieli pensjonatów (w lipcu było nad morzem polskiem tak wietrzno i zimno, że pensjonaty bankrutowały); wybieramy „Leśniczankę" tuż obok „Księżówki", niewielkiej willi, położonej uroczo w lesie sosnowym. Dziwne te sosny, jakieś karłowate, jak cała tutejsza roślinność. Brnąc w grząskim piasku, dochodzimy do morza. Kąpać się trudno, za zimno; więc chłopcy przynajmniej bawią się w łapankę z morzem (gonią fale i uciekają przed nadpływającą). Te igraszki trwają bez końca. Morze poczyna wywierać na młodzież właściwy sobie, nieprzeparty urok. Zwiedzamy jeszcze latarnię morską (widok wspaniały na otwarte morze, ale czapki trzeba dobrze trzymać) i wsiadamy do pociągu, w którym przedziałów zamówionych oczywiście nie było. Po dwugodzinnej podróży po wąskiem pasmie lądu, zagrożonem z obu stron przez natarczywe morze (Kuźnica), dojeżdżamy szczęśliwie do Pucka i lokujemy się w gościnnem Schronisku Towarzystwa Krajoznawczego w osobnej sali, na wygodnych łóżkach. Gościnna gospodyni przyjęła nas całem sercem, całą swą umiejętnością kulinarną, wszystkiemi swemi prześcieradłami i kocami. Dzięki tej kwaterze pobyt w Pucku, jako centrum i ognisku wycieczek po wybrzeżu, pozostawił nam wspomnienia najmilsze.

9 lipca, wtorek. Dzień odpoczynku. Czas wolny. Poczta (poste-restante) przyniosła nam wiele listów, paczek i pieniędzy. Zwiedzamy Puck, niewielkie (4.000 mieszk.), ale czyste i nawskroś polskie miasteczko (około 20 Niemców, około 3 Żydów, reszta Polacy; ich polszczyzna pozostawia jednak dużo do życzenia). Samo zetknięcie się z dzielnym żywiołem pra-Polaków, którzy nie

dają się Żydom zawojować, ani nawet zagnieździć, było dobrą lekcją praktyczną dla naszej młodzieży, przybyłej z Judeo-Polonji (mówią Kaszubi: Choć Żyd trochę taniej sprzeda, więcej oszuka; więc u swoich kupować, choćby i drożej). Wieczorem spacer prześliczną aleją nadmorską (kamień z napisem: „Nasz Bałtyk!"; data 20 II 1919). O zachodzie słońca płyniemy 4 łodziami po spokojnej tafli morza ku Rzucewu. Morze przy brzegu płytkie, więc bezpiecznie. Widok słońca zachodzącego, tonącego w bezkresnem morzu, był wprost czarowny. W nocy wprawiły nas w jeszcze większy zachwyt odblaski zorzy polarnej, bijące ku nam od bieguna północnego.

10 lipca, środa. Wycieczka całodzienna: koleją do Stawoszyny (w kierunku jeziora Żarnowieckiego), dalej pieszo przez Karwieńskie Błota do uroczej Karwi. Idziemy na plażę. Mimo zimna i silnego wiatru dość liczne grono letników kąpie się, trzymając się za ręce i biegnąc przeciwko falom; do takiej kąpieli trzeba jednak treningu. Tylko 3 chłopców odważa się na kąpiel (jeden po drugim, tuż przy brzegu, pod baczną uwagą kierownika), ale uciekają prędko z objęć zimnych fal. Po obiedzie w pobliskim pensjonacie (po 2 zł. 20 gr.), gdzie nas przyjęto gościnnie i b. grzecznie, idziemy boso wzdłuż wspaniałej, najpiękniejszej w Polsce plaży aż do Jastrzębiej Góry, zwisającej stromo nad brzegiem morskim. Po drodze przeprawiamy się przez jakąś rzeczkę, która tu do morza wpada. Na Jastrzębiej Górze spożywamy podwieczorek: bułki i znakomite „Leberwürste", specjalność Pucka. Delektując się wspaniałym widokiem na morze, wpatrujemy się w kilka wielkich okrętów, tkwiących „nieruchomo" w przestrzeni; z pióropuszu dymu usiłujemy odgadnąć (najczęściej mylnie) kierunek statku. Dochodzimy do słynnej latarni morskiej w Rozewiu (drugiej zrzędu co do siły światła pomiędzy latarniami Europy). Dalej idziemy już na południe betonowym wałem ochronnym nadmorskim. W Chłapowie podwieczorek. W Hallerowie w oczekiwaniu na pociąg gramy na łące w piłkę. Ciszę wieczorną przerywa trąbka: apel wieczorny obozu przysposobienia wojsk., ukrytego w pobliskim lesie. W wagonie opowiadamy sobie rozmaite przygody. Humory doskonałe.

11 lipca, czwartek. Podczas wycieczki łodziami zdarzył się dziś pierwszy (i ostatni) wypadek niesubordynacji. Po kąpieli w morzu koło Rzucewa wyjechały najpierw 3 łodzie z chłopcami,

a na końcu łódź admiralska (wstrzymana trochę przez spóźnionego „mistrza“ K.). Morze zaczęło chłopców kusić; i skusiło. Zamiast płytkim brzegiem jechać, jak było nakazane, puścili się na głębokie morze — aby raz sobie morza użyć. Łódź admiralska puściła się w pogoń. Sygnały wzrokowe i słuchowe nie dochodziły. Całą siłą wioseł pędząc dościgła wreszcie trzecią łódź, co przyszło tem łatwiej, że zamiast przodem jechała ta łódź raczej bokiem. Lecz dwie pierwsze łodzie znikły w zapadających ciemnościach nocy. W domu musiała obsada 3 łodzi pisać długą karę dydaktyczno-pedagogiczną, potem dostała porządną burę i dopiero na końcu kolację.

12 lipca, piątek. Targ w Pucku. Idziemy zobaczyć i może coś kupić. Ale na targ zjechały tylko dwie fury i kilkanaścioro ludzi. Zwiedzamy kościół farny, bardzo okazały — jak na 4-tysięczne miasteczko (kaplica Weyherów). Na obiad podają nam w restauracji zupę rumbarbarową i węgorza. Zupy chłopcy nie tknęli, węgorza pochłonęli. Zwiedzamy hangary hydroplanów. Z hangaru wyjeżdża największy z tych kolosów na wózku po betonowym chodniku; na morze spuszcza go olbrzymi dźwig; lotnicy dojeżdżają do hydroplanu łódką i z niej wdrapują się na maszynę. Hydroplan brzęczy po morzu jak olbrzymi bąk, wreszcie odrywa się od wody i wzlatuje. Wieczorem znów wycieczka łodziami; tym razem chłopcy byli spokojni i posłuszni jak baranki.

13 lipca, sobota. Żaglówką do Kuźnicy! Wbrew zabobonom wsiada nas 13-tu dnia 13-go do łódki nr. 13 — śmiejąc się z „fatalnej trzynastki“. Silny wiatr dmie od zachodu. Morze marszczy się coraz groźniej. W radosnem podnieceniu podnosimy kotwicę. Ruszamy. Wszystkie żagle rozwinięte. Mkniemy lotem strzały. Fale coraz większe i silniejsze. Chłopcy trzymają się dzielnie aż do chwili katastrofy Jurka P., który się nagle przechylił i począł oddawać dług morzu. Na ten widok pobladł Manek S., zzieleniał „mistrz“ K. i poczęli spoglądać bardzo niepewnie; wzięto ich w środek łodzi, aby się zanadto nie kołysali. Na szczęście już Kuźnica wychyla się ku nam z wód. Przelatujemy jeszcze jakąś mieliznę, jeszcze jakąś głębię i wpadamy do portu. Pyszna była jazda. Mimo tej trzynastki. Brnąc w piasku idziemy na drugą stronę półwyspu (jakich 200 m) na pełne morze. Wicher, zimno, bałwany. Wiatr tak silny, że wydyma naszą garderobę. Kąpiel krótka, a miła i orzeźwiająca. Obiad (z gramo-

fonem) w pensjonacie smakował nadzwyczajnie. Zarówno w Kuźnicach, jak i wszędzie indziej, właścicielki pensjonatów odnosiły się do chłopców poprostu po macierzyńsku, okazując nietylko dużo uprzejmości, lecz i dużo serca. Czas do domu. Wracamy na łódź. Rybak nasz robi minę jałowo-kwaśną: „Źle, panie proboszczu! Za silny wiatr przeciwny! Musimy czekać!“ — „Jakże długo mamy czekać?“ — pytamy przerażeni. — „Ha, no nie wiem. Może do wieczora, może do jutra, może dłużej!“ — Wobec takiej perspektywy zostawiamy rybaka jego losowi i idziemy piechotą do Chałup. A jednak ta trzynastka! — Idziemy drogą jak marzenie, przesmykiem wśród 2 mórz huczących, środkiem pięknego lasu sosnowego. Chłopcy wpadają w znakomity humor i zaczynają się bić. W rezultacie spóźniliśmy pociąg w Chałupach. Nic nie szkodzi. Zostawiwszy słabszych idziemy dalej do Wielkiej Wsi. Zmrok zapada. Oczy nasze uderza jakieś silne, oślepiające światło z wielkiej oddali: to latarnia w Rozewiu.

14 lipca, niedziela. Kościół farny przepełniony. Pobożność Kaszubów budująca. Ci ludzie modlą się naprawdę. Szczególnie podobało się nam zachowanie się dzieci, które mimo wakacyj zebrały się razem i recytowały pod kierunkiem ks. proboszcza modlitwy i teksty liturgiczne w czasie mszy św. Po południu piesza wycieczka w kierunku Rzucewa, do którego zawsześmy szli, a nigdy nie doszli. Po podwieczorku na wzgórzu rozpoczęła się szeroka zabawa, w której się wyładowywał temperament młodzieńczy w sposób niewinny, choć czasem bolesny dla sąsiada.

15 lipca, poniedziałek. Idziemy latać na hydroplanach, ale nie pozwolono. Spacer piękną aleją brzozową ku Swarzewu.

16 lipca, wtorek. Wycieczka do Gdyni. Spóźniony Miecio W. goni za pociągiem; wreszcie machnął ręką rozpaczliwie; chłopcy też machają przez okno, śmiejąc się serdecznie. Gdynia zaimponowała. Byłem w Gdyni przed siedmiu laty. Poznać nie można tej wioseczki rybackiej. Zwiedzamy port handlowy: okręty ładowane, dźwigi wypróżniające odrazu całe wagony, holowniki, bagrowniki, wrzynające się coraz głębiej w ląd (sięgnie port jeszcze 4 km w głąb lądu). Berlinki wywożą ziemię wybagrowaną, tworząc nowe wybrzeże; z płókanej ziemi wybierają chłopcy bursztyny. Syci wrażeń i bursztynów wracamy do Pucka na obiad. Po południu jedziemy żaglówką do Swarzewa (niezła kąpiel). Tym razem żaglówka spisała się dzielnie, bo potrafiła jechać nietylko

z wiatrem, lecz wracając i przeciw niemu. Puck żegnamy z żalem; dobrze nam tu było.

17 lipca, środa. Odjazd pociągiem pośpiesznym. W Gdyni zatrzymujemy się na pół dnia.

Zostawiwszy wszystkie bagaże na dworcu w garderobie zwiedzamy dziś miasto Gdynię, oprowadzani przez uprzejmą panią M. Ż. Dziwne to miasto: w jednym rzędzie chałupki rybackie i 3-piątrowe kamienice. Ulice jeszcze nie brukowane; brak chodników. Pc kąpieli w morzu (zimna!) i obiedzie u SS. Miłosierdzia zwiedzamy w porcie luksusowy statek pasażerski „Gdynię". Vaporetto przewozi nas na oksywski brzeg portu. Zwiedzamy uroczo położony stary kościółek z cmentarzem, będącym pomnikiem polskości Pomorza (grób Abrahama). Schodzimy w dół do portu wojennego, zwiedzamy wewnątrz jeden kontrtorpedowiec, oglądamy okręt nurkowy „Nurek", wyławiacz min (trauler) i wielki pancernik szkolny „Bałtyk". Okręty oglądaliśmy z wielkiem zainteresowaniem, marynarze objaśniali grzecznie, niemniej jednak nasuwa się smutna refleksja: Te stare okręty, odebrane po wojnie od Niemców, przedstawiają niewielką wartość bojową. Dopiero po przyjściu z Francji zamówionych łodzi podwodnych i torpedowców będzie mogła flota nasza do pewnego stopnia zabezpieczyć wybrzeże. Wracamy do portu handlowego i wdrapujemy się na pokład gigantycznego angielskiego olbrzyma „Morus'a", który przywiózł z Chin 10.000 ton ryżu wraz z chińską załogą. Właśnie przeładowują ryż do łuszczarni. Z wysokiego pomostu obserwujemy pracę dźwigów parowych, wyrzucających worki ryżu z głębi okrętu, zanurzającego się pod poziom wody o 15 m. Po kolacji wycieczka na Kamienną Górę, skąd obserwujemy sygnały świetlne 4 latarni morskich (Gdańsk, Oksywia, Jastarnia, Hel). Wyjeżdżając inaczej już myślałem o Gdyni: jest ona już obecnie portem conajmniej równorzędnym z Gdańskiem. Przyspieszony pociąg osobowy nocny zawiózł nas przez Mławę do Warszawy; po drodze spaliśmy wygodnie, gdyż wagon był prawie pusty.

18 lipca, czwartek. Doskonała kwatera w gimnazjum Górskiego, Hortenzja 2 (i bardzo tania). Odwiedzamy grób nieznanego żołnierza, oglądamy dokładnie Zamek królewski wraz z kolumną Zygmunta. Zamek warszawski podoba się więcej, niż krakowski; bardziej utrzymany w stylu (podłogi mozaikowe, wspaniała sala balowa). Obiady doskonałe i niedrogie jemy przy u

Siennej 16 (II piętro). Przechodząc ulicą Bagatela wstępuję do gmachu Ministerstwa W. R. i O. P. i przekonuję się ze zdumieniem, że jest to zwykła kamienica czynszowa. Zwiedzamy przy tejże ulicy też wzorowy ogródek Jordanowski dla małych dzieci, prowadzony z ramienia Ministerstwa W. R. i O. P., ale niema tam nic nadzwyczajnego.

Podmiejską kolejką jedziemy do Willanowa; pałac letni Sobieskiego i park ze słynnemi alejami lipowemi i malowniczo położonym stawem nastrajają nas romantycznie; pamiątki po Sobieskim, rozsiane po Polsce, dziwny i sobie właściwy wywierają zawsze urok.

19 lipca, piątek. Ostatni dzień wycieczki był pracowity zarazem i miły. Zwiedzamy katedrę św. Jana, gotyk angielski, dalej stary rynek, który po odrestaurowaniu fasad wszystkich kamienic poprostu rwie oczy swą pięknością, pełną uroku i staropolskości. Oczywiście składamy też wizytę Fukierowi (u wejścia wisi okręt, godło kupców), ale do słynnej winiarni Fukiera nie wchodzimy; chłopcy możeby nie wytrzymali. Niespodziewane bogactwo sztuki odkrywamy w Muzeum Zachęty, które bodaj czy nie przewyższa Muzeum Narodowego w Krakowie (piękne rzeźby, obrazy Matejki, Grunwald, Kazanie Skargi, Dirce chrześcijańska, ilustracje do „Marji" Malczewskiego). Zwiedzamy też ogród saski.

Popołudniu autami (zamiast tramwaju używaliśmy stale aut; nie o wiele to droższe, a znacznie szybsze) do fabryki rowerów Zawadzkiego, po której oprowadzał nas dzielny jej założyciel i właściciel (wyrabia kierownicę, ramy i daje robotę ślusarską; resztę sprowadza).

W pobliskiej cukierni urządzamy „zakończenie wycieczki": kawa mrożona, oranżady, ciastka etc. Używamy do woli. Oglądamy jeszcze Belweder (zdaleka) i Łazienki, pałac i teatr grecki, (karzełek waży nas, tysiące ryb w stawku) i wracamy autami do kwatery.

Pobyt w Warszawie był bardzo miły i pouczający. I udał się nam dobrze.

Syci wrażeń wracamy do Lwowa. W naszym ekspresie był jeden tylko wagon III-ej klasy, przepełniony do ostatniego centymetra na godzinę przed odjazdem pociągu. Na szczęście znaleźliśmy 2 przedziały dla nas zarezerwowane; inaczej musielibyśmy

całą noc stać. Czemu jednak zarząd koleji nie daje więcej wozów III-ej klasy?

20 lipca, sobota. Lwów. Wycieczka skończona. Bardzo udana, pouczająca i przyjemna.

* * *

Za pomoc w zorganizowaniu tej pięknej wycieczki sodalicyjnej składam podziękowanie: Kołu Rodz. X gimn. (subwencja 400 zł.), ks. dr. Rychlickiemu z Krakowa, W. P. Dyrektorowi gimn. w Król. Hucie za gościnne przyjęcie, dyrekcji kopalni Boer w Kostuchnie (w szczególności p. inż. Bialikowi), zarządowi Domu Polskiego w Gdańsku, ks. Fischeggerowi i p. Brykczyńskim w Pucku, p. Żerebeckiej w Gdyni, p. Wojciechowi Górskiemu i ks. prałatowi de Ville w Warszawie.

Lwów *Ks. dr. K. Thullie*